

Josie Metcalfe

Zimowa opowieść

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Udało się - szepnęła.

Laurel wciąż była wolna. Prowadziła ze wzrokiem utkwionym we wstecznym lusterku, drżąc ze strachu na widok każdego dużego czarnego auta.

Miała jeden cel: znaleźć się jak najdalej od swoich prześladowców, dlatego nieprzerwanie jechała aż do zmroku. Wreszcie zatrzymała się na chwilę, by skorzystać z toalety. Mimo zapadających ciemności i fatalnej pogody - o takich warunkach marzy każdy uciekinier - na parkingu przy stacji benzynowej ukryła samochód pomiędzy ogromnymi ciężarówkami.

Po ponad roku poszukiwań wreszcie trafiła na właściwy trop. Żeby się o tym ostatecznie upewnić, wystarczy dotrzeć do Edenthwaite.

- Niedługo się przekonam.

Z powodu deszczu ledwie dostrzegała szosę, która na dodatek stawała się coraz bardziej kręta. Podróż byłaby o wiele łatwiejsza i krótsza, gdyby wiodła autostradą, lecz z uwagi na pościg było to zbyt niebezpieczne, dlatego Laurel wybierała lokalne drogi. Dotarła już tak blisko szpitala, w którym pracowała Lauren, i nie mogła ryzykować. Gdyby nie zrealizowała celu swej podróży, oznaczałoby to, że wszystko, co wycierpiała w dzieciństwie, na nic się nie zdało, zwłaszcza teraz, gdy wiedziała już, dlaczego ojciec...

- Nie! On nie jest moim ojcem - wycedziła gniewnie, przywołując z pamięci wyrządzone jej krzywdy, nie tylko te, których doznała jako mała dziewczynka.

Przez wszystkie te lata obsesyjnie zastanawiała się, dlaczego wciąż ją krytykował i poniżał, natomiast nigdy nie usłyszała od niego dobrego słowa. Zmarnowane lata starań o sprostanie niemożliwym do spełnienia wymaganiom. Do tego nieustające poczucie winy...

Nawet teraz, w rok po dokonaniu sensacyjnego odkrycia, nie mogła jeszcze uwierzyć w ciąg prostych zdarzeń, które spowodowały, że oszustwo wyszło na jaw.

Ten list wpadł jej w ręce przez czysty przypadek. Laurel nie miała wątpliwości, że ojciec zniszczyłby go, gdyby przeczytał go pierwszy. Nigdy nie dowiedziałyby się, że została adoptowana oraz że poza nią jest jeszcze...

- Psiakrew! - krzyknęła, gdy tuż przed nią wyrosła ciężarówka.

Gdy wcisnęła hamulec, omal nie wpadła w poślizg. Nawierzchnia była mokra, szczęśliwie temperatura nie spadła jeszcze poniżej zera i woda nie zamarzała. Gdyby tak się stało, nie zdołałyby opanować samochodu.

Zerknęła na zegarek i odetchnęła z ulgą. O ile nie pomyliła się w obliczeniach, od Edenthwaite dzieli ją zaledwie dziesięć kilometrów. Ostrożnie przyspieszyła. Opony na szczęście trzymały się drogi. Miała nadzieję, że zdąży przed ślizgawicą.

Po dwóch kilometrach zza zakrętu wyłonił się ciemny samochód. Pędził wprost na nią z ogromną jak na te warunki szybkością. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Laurel szarpnęła za kierownicę, odbiła się od kamiennego murku, w mgnieniu oka zarejestrowała przerażoną twarz tamtego kierowcy i ciemnoszarą barwę lakieru jego auta - i została skosem uderzona w przód maski. Sprawca wypadku odjechał, a jej samochód zaczął wirować, wreszcie przebił się przez murek i przekoziółkował na leżącą poniżej łąkę.

- Och, Boże, Boże - szeptała Laurel, gdy wszystko znieruchomiało.

Wisiała na pasach, bowiem auto spoczywało na boku i w każdej chwili mogło przetoczyć się na dach. Z wysiłkiem sięgnęła do kierownicy, przyciągnęła się do deski rozdzielczej i wyłączyła silnik, mając nadzieję, że w ten sposób nie dopuści do pożaru. Kompletnie nie wiedziała, jak oswobodzić

się z pasów, by nie runąć w dół. Po chwili uświadomiła sobie, że ryzyko spłonienia żywcem nadal jednak istnieje. A przecież nie była sama i gra szła nie tylko o jej życie...

Wokół panowały ciemności i Laurel zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrobiła, wyłączając silnik, a więc tym samym i światła. W tych warunkach nikt przejeżdżający szosą nie zauważy przewróconego samochodu, bowiem droga biegnie wyżej.

Obróciła głowę, by rozejrzeć się po okolicy, i auto niebezpiecznie zadrżało, jakby za chwilę miało runąć. Laurel zamarła. A jeśli utkwiała nad jakimś urwiskiem?

Wiedziała, w jaki sposób lodowiec ukształtował okolice Edenthwaite. Było tu mnóstwo dolin o płaskim dnie i stromych zboczach. Przed wyjazdem przestudiowała mapę, wytyczając najkrótszą drogę na północ. Kręta szosa najpierw wspinała się serpentyną, a potem gwałtownie opadała do dna doliny.

W zależności od tego, w którym miejscu doszło do wypadku, samochód mógł utkwąć albo w jakimś załomie urwiska, albo w pobliżu bezpiecznego dna doliny. Nieco przeniknąwszy wzrokiem ciemność, Laurel uznała, że chodzi o tę drugą możliwość, nie mogła jednak wykluczyć groźniejszego wariantu.

Musi jednak zaryzykować. Nie ma wyjścia. Noc spędzona w takim zimnie grozi nawet śmiercią, a ratunek mogła znaleźć tylko na szosie. Być może ktoś ją dostrzeże i zatrzyma się?

- Wiszę tu jak bombka na choince - mruknęła do siebie i zachichotała. - Mam tak czekać do Bożego Narodzenia?

Wyciągnęła rękę, by odpiąć pas. Wzynał się mocno w ciało, ale co tam! Na pewno ma siniaki, lecz uniknęła skręcenia karku.

- A co z tobą? - zapytała, dotykając wolną dłońią brzucha.
- Pewnie się cieszysz z tych amortyzujących płynów.

Jakby w odpowiedzi, dziecko delikatnie wierzgnęło nóżką. Laurel uśmiechnęła się, gładząc palcami miejsce, w którym to poczuła.

- No już dobrze, zaraz nas stąd wydobędę, chociaż pewnie nie sprawia ci to różnicy. Zresztą sama nie wiem. Ostatnio wywijalesz takie koziołki, że wiszenie głową w dół nie jest dla ciebie żadnym wydarzeniem.

Nie zdołała odpiąć pasa. Przekręciła się nieco, by pomóc sobie drugą ręką, lecz samochód znów drgnął i nieco zmienił kąt nachylenia.

Laurel zamarła. Przez kilka niekończących się sekund wstrzymywała oddech. Wciągnęła powietrze dopiero wtedy, gdy wszystko się uspokoiło.

Usłyszała za to dziwny dźwięk, jakiś szelest, a może tykanie? Nie taki, jaki wydaje stygnący silnik, i nie tak miarowy jak zegarek. Nieregularny i znacznie cichszy. Chyba dochodził z zewnątrz.

Po chwili odgadła.

Zaczął padać śnieg. Dopiero teraz dostrzegła, że szyby pokrywa warstewka jasnego puchu.

- Nie rób mi tego! - jęknęła, nie wiadomo, do Boga czy do sił natury.

I tak trudna już sytuacja staje się teraz wręcz dramatyczna.

Laurel podsumowała fakty. Po pierwsze robi się coraz zimniej, a włączenie ogrzewania grozi pożarem. Po drugie sypie coraz gęstszy śnieg, który nie tylko pokrywa auto, ale zasypuje również ślady na drodze, więc nikomu nie wpadnie do głowy, żeby tu kogoś szukać.

Znów usłyszała jakiś dźwięk.

- Samochód! - krzyknęła i błyskawicznie podciągnęła się do przodu, żeby dosięgnąć klaksonu.

Już miała zatrafić, gdy nagle powstrzymała się. Ciemna sylwetka auta przeraziła ją... i w ten sposób okazja przepadła.

- Idiotka - rzuciła ze złością.

Miała rację. Nawet gdyby to byli oni, przynajmniej ocaliłaby życie.

Ogarnęło ją poczucie krańcowej bezsilności. Z trudem powstrzymywała łzy. Do tego właśnie wszystko zmierza? Nieszczęśliwe dzieciństwo, potem lata niepokoju, wreszcie rozpacz, gdy uwierzyła, że naprawdę jest psychicznie nie zrównoważona. Aż wreszcie pojawił się ów list, który zawierał rewelacyjne informacje, i twarde postanowienie, by sprawdzić, czy są prawdziwe.

Więc taki ma być finał?

Dotarła już tak blisko. Miała pewność, że Lauren Scott jest tą osobą, dzięki której ostatni element znajdzie się w układance. Lauren jest tuż - tuż, mieszka kilka kilometrów od przemienionego w pułapkę samochodu. Cóż z tego? Mogłaby równie dobrze przebywać na innym kontynencie.

Szybkie kopnięcie w brzuchu wyrwało ją z tych rozmyślań i zmobilizowało do działania.

- Masz rację - rzuciła do dziecka. - Nie wolno mi się poddawać. To również twoja sprawa.

Wciągnęła powietrze na tyle, na ile pozwalały pasy, przekreśliła się i zdecydowanie sięgnęła do zapięcia. Samochód zakołysał się, złowieszczo zatrzeszczał i zaczął przechylać się ku mrocznej otchłani.

- Nie! - wrzasnęła.

Instynktownie usiłowała zmienić pozycję, by własnym ciężarem powstrzymać nabierającą rozpędu, bezwładną masę żelastwa.

Przy wtórze przerażających trzasków i skrzypienia stali, pojazd przetoczył się na dach i zaczął przechylać na drugi bok. Laurel była przekonana, że za chwilę runie w przepaść. Uderzyła głową o framugę drzwi i straciła przytomność. W

ostatniej chwili samochód znieruchomiał i Laurel, niczym bezwładna lalka, została ciśnięta w drugą stronę.

Wpatrując się w wirujące nad drogą płatki śniegu, Dmitri głośno zaklął.

- Tylko tego brakowało - dodał po angielsku.

Był na siebie wściekły. Dlaczego natychmiast nie zareagował, gdy zobaczył jej samochód? Jak teraz ma zgadnąć, którą drogę wybrała? Miną miesiące, zanim znów natrafi na jej ślad.

Miesiące?

Czy naprawdę zamierza szukać po całym kraju tej nieszczęsnej kobiety? Aż dwa tygodnie zajęło mu ustalenie, w którym szpitalu pracowała. Musiał przywołać cały osobisty urok, by skłonić jej sąsiadkę do zdradzenia, że Laurel planowała wyjechać na święta do Cumbrii.

Początkowo nie zdawał sobie nawet sprawy ze znaczenia zadziwiającego zbiegu okoliczności, który sprawił, że znaleźli się równocześnie na tej samej autostradzie. A potem... potem zmarnował okazję.

Musi podjąć ważną zawodową decyzję związaną z powrotem do Rosji. Ma na to dwa tygodnie. Dwa tygodnie, które mógłby poświęcić na wizytę u babci Anuszki i uporządkowanie swych spraw albo... na dalsze poszukiwanie Laurel.

Dziś po południu mógł wyciągnąć rękę i niemal dotknąć jej samochodu. Gdyby tylko nie czekał na dogodniejszy moment...

Czy jednak naprawdę chciał przez dwa cenne tygodnie podążać śladem kobiety, która opuściła go, nawet nie obejrzawszy się za siebie? Czyż nie powinien jak najprędzej wrócić do babci Anuszki? Gdy ją ostatnio odwiedził, była taka słaba. Kto wie, jak długo jeszcze będzie żyła?

Chwilami nawet go nie poznawała, a jednak... Przez tak wiele lat była w jego życiu jedynym stałym punktem odniesienia. Dręczyło go poczucie winy. Zdawał sobie sprawę, że dni przemijają, a ona jest sama. Nikt jej nie odwiedzał, poza nim nie miała nikogo...

Gdyby jednak zdołał ustalić, co się stało z Laurel, dlaczego zniknęła w taki sposób...

Jak zawsze gdy o niej myślał, jej wyrazisty obraz pojawiał mu się przed oczami. Długie, lekko kręcone włosy nasuwały myśl o bożonarodzeniowych aniołach, do tego słodka, pełna wyrazu twarz i fascynujące bursztynowe oczy. To właśnie cień w tych oczach, który pojawiał się, gdy tylko Laurel przestawała się mieć na baczności, zwrócił uwagę Dmitriego. Kiedy stało się to po raz pierwszy? Przed rokiem, gdy rozpoczynał pracę w tym samym co ona szpitalu.

Laurel nie zrobiła nic, żeby się nią zainteresował. Nie, od tego była daleka.

W żaden sposób nie wykorzystywała swej oczywistej urody. Dmitri uznał, że albo nie zdawała sobie z niej sprawy, albo nie uważała jej za atut.

Do dziś zadziwiał go pewien paradoksalny rys jej osobowości: Laurel była bardzo niewinna, a zarazem niezwykle mocno reagowała na jego obecność. Lecz później nagle zniknęła ze szpitala i z życia Dmitriego, najwidoczniej niepomna tego, co między nimi zaszło.

To właśnie ich romans... a także zraniona duma... sprawiły, że obsesyjnie jej poszukiwał.

Ale czy powinien na to poświęcać kolejne tygodnie? Wspomniał gorące pocałunki Laurel... I to stanowiło odpowiedź.

Odnajdzie ją, choćby po to, by przekonać się, dokąd i dlaczego uciekła.

Poczuł pałący gniew. Jak mogła tak wszystko podeptać i po prostu zniknąć? Zostało mu niewiele czasu, niedługo będzie musiał opuścić Anglię, ale zrobi wszystko, by odnaleźć Laurel. Wprost rozsadzała go wściekłość.

Koła nagle straciły przyczepność i tylko dzięki odruchowej reakcji Dmitri wyszedł z opresji cało. Odetchnął głęboko.

- Tylko spokojnie - mruknął.

Musi się skoncentrować na prowadzeniu. Przecież ma odnaleźć Laurel, a nie taranować kamienne przydrożne murki.

Jak daleko jeszcze? - zastanawiał się. Po niedawnej przygodzie bał się zerknąć na mapę rozłożoną na sąsiednim siedzeniu, a bardzo tego potrzebował, zapomniał bowiem, jak nazywa się najbliższa miejscowość. Pamiętał tylko, że jej nazwa ma coś wspólnego z rajskimi ogrodami.

Przez całą drogę bezwiednie kontemplował urokliwy krajobraz, i nawet teraz, mimo zmroku i sypiącego śniegu, co i rusz zerkał wokół. Jednak okolica wcale nie wyglądała teraz idyllicznie. Kiedyś już tu był, zaświtało mu w głowie. Tak, to droga do Edenthwaite! Na pewno! Tylko dlaczego Laurel zmierzała akurat tam? Na razie pozostaje to tajemnicą.

Wiedział z całą pewnością, że Laurel, świeżo upieczona dyplomowana pielęgniarzka, lubiła swoją pracę. No i jego Dmitriego, obdarzyła uczuciem. Czy na pewno? Przecież nie zostawiłaby go tak bez słowa...

- A to co znowu? - mruknął.

Zdjął nogę z gazu. Patrząc w lusterko, zorientował się, że minał miejsce wypadku. Świadczył o tym błysk, jaki w świetle reflektorów daje kawałek rozbitej szyby lub lusterka.

Na szosie nie było jednak żadnych śladów, jakie musiałyby zostawić samochód wypadający z drogi. Wypadek zdarzył się więc jakiś czas temu i ofiarami na pewno zajęły się odpowiednie służby, tylko nie uprzątnięto jeszcze wraku auta.

Dzięki Bogu, bo gdyby stało się to w taką pogodę, trudno by było samochód zauważyć z drogi.

Ostrożnie przyspieszył. Miał już dość niegościnnego pustkowia, marzył o hotelu w tym Edenthwaite.

Gdy tylko dotrze na miejsce, zadzwoni do kilku osób. Jeśli Laurel rzeczywiście przyjechała do Edenthwaite, z pewnością zamierza zatrudnić się w szpitalu. A może już zaklepała sobie tam posadę? Trzeba ją znaleźć i zadać kilka pytań. Musiała mieć jakiś powód, by wybrać właśnie tę miejscowość. Zamierzał dowiedzieć się, o co chodziło.

Potem będzie mógł wrócić do Rosji, wolny od dręczącego poczucia, że musi odnaleźć kobietę, która całkowicie zawładnęła jego myślami.

Gdzie się podziały wszystkie samochody? Właśnie wtedy, gdy ich potrzebuję? - myślała gorączkowo.

Wpatrywała się w lusterko. Teraz przynajmniej wisiała w nieco wygodniejszej pozycji.

W kabinie panował coraz większy chłód. Po uderzeniu we framugę bolała ją głowa. Nie wiedziała, na jak długo straciła przytomność.

- Co za ironia losu - mruknęła. Tak bardzo starała się, by nikt jej nie zauważył, no i doczekała się...

Najchętniej stałaby się wręcz niewidzialna, od kiedy przeczytała tamten list, choć nie od razu w pełni zdawała sobie sprawę z wagi odkrycia, wszystko bowiem wyglądało zbyt fantastycznie, wprost niewiarygodnie. Jednak wszystko się zmieniło, kiedy sprawdziła kilka faktów. Nie zapowiadając się, przyszła do biura adwokata matki i zażądała kilku prostych odpowiedzi.

- Jestem bliźniaczką - szepnęła, jakby chcąc potwierdzić niezbitą prawdę, o której właśnie się dowiedziała.

Siostra najpewniej mieszka gdzieś w pobliżu, być może w Edenthwaite. Laurel była pewna, że gdy ją odnajdzie, dowie się całej reszty.

A pytania mnożyły się bezustannie. Worek z nimi otworzył ów list.

List matki. Prawdziwej matki.

Laurel miała ze sobą jego kopię, którą zaszyła pod podszewką płaszcza. Zachowując potrzebną w tych okolicznościach ostrożność, prawnikowi matki oddała na przechowanie oryginał, a także załączony do niego testament i świadectwa urodzenia. Pozostaną tam do zakończenia poszukiwań.

Pamiętała niewyraźne pismo i rozdzierające serce słowa. Matka musiała je skreślić zaledwie parę godzin po porodzie, widząc, jak ukochane maleństwo ktoś zabiera, by oddać je innym ludziom.

Gdy Laurel po raz pierwszy przeczytała list, najpierw przeżyła wstrząs, a potem gniew na myśl o szalbierstwie, które przesądziło o jej losach. Dopiero po kilku miesiącach odnalazła w sobie cieplejsze uczucie dla matki, która ją porzuciła, później zaś starannie wystrzegając się wszelkich kontaktów.

Przymknęła oczy, czując napływające łzy. Przycisnęła dłonie do brzucha, w którym nosiła swoje dziecko. Dopiero wówczas gdy stwierdziła, że jest w ciąży, gdy ogarnęły ją macierzyńskie uczucia, zdała sobie w pełni sprawę, jak strasznym czynem jest oddanie takiego maleństwa do adopcji.

Dobrze, że przez ostatnich dwadzieścia osiem lat stosunki społeczne zmieniły się na tyle, że kobiety mogły decydować o swym losie i samodzielnie dokonywać wyborów. Ani zgorszona rodzina, ani presja przyjaciół nie zdołałyby jej zmusić do niczego.

Gdyby wiedzieli, czego Laurel dokonała w ostatnim roku, ogarnęłoby ich przerażenie.

Zaśmiała się gorzko na myśl, że mija już prawie dwanaście miesięcy od opuszczenia jedyne go domu, jaki miała w swoim życiu.

Za kilka dni Boże Narodzenie. Upłynął niemal rok od czasu, gdy potulnie uczestniczyła w hucznych przygotowaniach do własnego ślubu.

Nawet teraz nie mogła odgadnąć, czy ojciec wtajemniczył Granta w swoje machinacje. Nie, nie ojciec. Robert Wainwright, tylko tak może go nazywać.

Z Grantem ani przez chwilę nie łączyły jej jakiegokolwiek uczucia. To małżeństwo zaplanowano, mając na uwadze wyłącznie korzyści finansowe.

Do wyrażenia zgody skłoniło ją tylko jedno: szansa na uwolnienie się od złośliwych uwag Roberta. Tak dobrze byłoby przestać udawać, że bierze te wstrętne tabletki i zacząć żyć własnym życiem. Marzyła, by zostać pielęgniarką, pragnęła całkowicie poświęcić się tej pracy. Dzięki temu sprawy osobiste mogłaby odsunąć na dalszy plan. To skłoniło ją, by przyjąć oświadczenia Granta.

Kandydat do jej ręki nie musiał walczyć o nią z tłumem konkurentów. Nie przy Robercie, który pilnie śledził każdy krok Laurel. Nie pragnęła zresztą w swym życiu mężczyzny, wyniosła bowiem z domu jak najgorsze doświadczenia w tym względzie. Całą swoją energię skupiła na zdobyciu kwalifikacji pielęgniarki.

Laurel westchnęła, przypominając sobie, jak długo musiała staczać boje, żeby pozwolili jej zapisać się do szkoły. Wreszcie, ku jej zdziwieniu, poparła ją matka... nie, nie matka, żona Roberta.

Rozmowa kwalifikacyjna była przełomem, wyznaczyła nowy etap jej życia. Laurel opowiedziała szczerze, jak

uzależniła się od środków uspokajających i w jaki sposób pokonała nałóg.

Sama zaproponowała, żeby poddano ją próbie. Zgodziła się w każdej chwili, na każde żądanie, oddawać krew do badania, by tylko zyskać szansę wykonywania upragnionego zawodu.

Nauka była bardzo wyczerpująca, Laurel harowała jednak bez wytchnienia. Zajęcia teoretyczne, praktyka szpitalna, podczas której musiała wykonywać najcięższe i najbrudniejsze prace, nocne kucie do egzaminów, wszystko to odmieniło ją, nadało sens jej istnieniu. No i uwolniło ją od Roberta Wainwrighta, który wszędzie tam, gdzie się pojawiał, stwarzał duszną, trudną do zniesienia atmosferę.

Ważne było jeszcze coś. Gdyby tak zażarcie nie walczyła o wydostanie się spod buta Wainwrighta, gdyby zwątpiła w siebie i nie została pielęgniarką, nigdy by nie poznała Dmitriego.

Na myśl o nim uśmiechnęła się czule, choć z domieszką goryczy. Już nigdy nie spotka ukochanego. Po tym, jak go opuściła, wszystko jest skończone. Nie będzie chciał mieć z nią do czynienia. Nie żałowała jednak, że go poznała. Na pewno nie.

Nie zapomni go nigdy, była tego pewna. Pamięta jego dotyk, każdą zmarszczkę na jego roześmianej twarzy, a przede wszystkim cudowne spojrzenie, które wprost ją hipnotyzowało.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Przepraszam?

Laurel najpierw ogarnął strach. Ostatnio często tak reagowała, gdy ktoś ją o coś zagadywał. Obawiała się, że w końcu jej gra wyjdzie na jaw, mimo że na oddziale występowała pod zmienionym nazwiskiem. Jednak w kadrach znano jej prawdziwe personalia. Choć była to informacja poufna, istniało pewne ryzyko, że Robert Wainwright wpadnie na jej trop.

Mężczyzna, który odezwał się do niej, mówił z akcentem, którego Laurel nie rozpoznała, lecz jego głos, choć była nieufna wobec ludzi, podziałał na nią dziwnie kojąco. Odwróciła się i napotkała spojrzenie najbardziej niezwykłych oczu, jakie można sobie wyobrazić.

Szarych, lecz w odcieniu, jakiego nie znała. Kolor nie przypominał zimnej stali, lecz kojarzył się z ciepłym stopionego srebra. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ocienione rzęsami oczy, w szlachetną, szczupłą twarz. Po chwili zdołała się wyrwać z niepojętego zauroczenia. Całe szczęście, że nie upuściła stosu czystych prześcieradeł, który piętrzył się na jej rękach.

- Och, przepraszam. Czym mogę służyć?

- Czy może mi pani wskazać, którądy do riebionok!

- Riebionok co?

Laurel zważyła w należyte funkcjonowanie swego umysłu. Czyżby nie rozumiała prostych angielskich słów?

- Przepraszam - odparł z melancholijnym uśmiechem. - Rozmyślałem o moim rodzinnym domu, o Rosji. Niekiedy mylą mi się słowa. Chodziło mi o niemowlęta. O oddział dla noworodków.

- Właśnie tam idę, mogę pana zaprowadzić - zaoferowała się z pomocą, czując, że palą ją policzki.

Nieznajomy wpatrywał się w Laurel tak intensywnie... Zaczęła się zastanawiać, czy wokół jej ust nie pozostał ślad po wypitej kawie lub może ubrudziła się czymś innym.

- Pozwoli pani, że to wezmę - powiedział nagle. Zanim zorientowała się, w czym rzecz, odebrał jej stos pościeli.

- Pracuje tam pani? - zapytał, gdy ruszyli.

Po kilku krokach zwolnił, by mogła za nim nadążyć. Była średniego wzrostu, on zaś bardzo wysoki, szczupły i silny. Posturą przypominał wyczynowych pływaków, których niedawno oglądała w telewizji. Był to reportaż o przyszłych olimpijczykach. Teraz wyobrażała sobie tego mężczyznę, jak zamiast w eleganckim garniturze i białej koszuli, stoi na słupku startowym sprężony przed skokiem, odziany jedynie w obcisłe spodenki, jakie noszą pływacy... albo nawet...

Nie, dość!

Co się z nią u diabła dzieje? Nigdy nie fantazjowała o mężczyznach, nigdy nie wyobrażała sobie ich nago. A przecież tylko wziął od niej prześcieradła i poprosił...

- Ach, tak - rzuciła pośpiesznie, przypominając sobie, że wciąż nie odpowiedziała na pytanie. - Od niedawna pracuję na oddziale noworodków. To moja pierwsza posada po dyplomie.

- Skierowali tam panią, czy sama pani wybrała ten oddział?

Wpatrywał się w nią intensywnie, jakby naprawdę był tego ciekaw, jakby nie chodziło jedynie o grzecznościową rozmowę.

- Sama tak postanowiłam - odparła zmieszana. Nie była przyzwyczajona, by ktokolwiek interesował się jej osobą, chyba że chodziło o przypisanie jej jakiejś winy. - Zawsze chciałam to robić.

- Mam nadzieję, że się pani nie zawiodła. - Skinął z namysłem głową, a potem dodał cicho: - Na pewno dzieci są panią zachwycone.

Słowa te zabrzmiały jak komplement, do czego również nie miała się kiedy przyzwyczaić. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale na szczęście dotarli już do oddziału.

- Siostra dyżurna powinna być w swoim pokoju. Zaprowadzić pana?

- Dziękuję, nie trzeba - odparł z uśmiechem, który zaparł jej dech w piersi.

Ten mężczyzna stwarzał większe zagrożenie niż były Związek Radziecki z całym swym arsenałem nuklearnym.

- Na oddziale sobie poradzę - dodał. - Nie wiedziałem tylko, jak tu trafić.

Oddał jej prześcieradła.

- Szkoda, że nie rzucał pan okruszków, żeby znaleźć powrotną drogę - zauważyła z uśmiechem.

Gdy wkładała pościel do szatki, uświadomiła sobie, że jeśli nadal chce pozostać w cieniu, powinna sobie darować takie nonszalanckie uwagi. Nic wolno jej się wyróżniać.

- Weź się w garść - mruknęła pod nosem, układając prześcieradła.

Na tym oddziale dbanie o czystość pościeli miało szczególne znaczenie. Nikt tak łatwo jak noworodki nie łapie infekcji. Na szczęście najpoważniejszy problem rozwiązały jednorazowe pieluchy.

Teraz Laurel powinna zawiadomić siostrę oddziałową, że wykonała jedno zadanie i poprosić o wyznaczenie następnego. Ciągłe coś tu się działo i prawie każdego dnia uczyła się nowych rzeczy. Laurel z utęsknieniem czekała chwili, kiedy zyska już taką praktykę, że będzie mogła pracować samodzielnie, a nie służyć za pomoc bardziej doświadczonym koleżankom.

- Nadejdź, szczęśliwy dniu, kiedy przestanę być najmarniejszą z marnych - szepnęła z uśmiechem.

Ponieważ długo musiała walczyć, by przybrani rodzice pozwolili jej rozpocząć szkolenie, dyplom otrzymała jednocześnie z dużo młodszymi od siebie koleżankami. Nie byłaby człowiekiem, gdyby nie zżymała się w duchu, gdy kobiety w jej wieku, a nawet młodsze, obarczały ją podrzędnymi obowiązkami. Lecz tak tymczasem musi być. Wspinanie się po szczeblach kariery wymaga czasu i ciężkiej pracy.

Wyprostowała się dumnie i uniosła podbródek. Ucieczka z domu kosztowała ją również dobrą posadę, którą zaproponowano jej po ukończeniu kursu. Kolejna strata wynikająca z posiadania takiej rodziny. Chociaż w nowym szpitalu przynajmniej nikt nie wiedział o jej przeszłości, o nadużywaniu leków. Po trzech latach uznano, że całkowicie zapanowała nad nałogiem i nie ma potrzeby informowania o dawnym uzależnieniu nowego pracodawcy.

- Siostrzyczko Richards, oto moja wybawczyni!

Kiedy niespodziewanie usłyszała znany już jej głos, nie potrafiła zdobyć się na żadną odpowiedź. Co się z nią działo, na Boga?!

- Dziękuję, Laurel, że uratowałaś dla mnie pana doktora. Nie chciałabym go utracić.

Przełożona wprawdzie zwracała się do niej, wpatrywała się jednak w kogoś innego. No cóż, uśmiech pana doktora miał moc wprost zniewalającą, a jego spojrzenie... Laurel zastanawiała się, czy tych dwoje łączy coś więcej niż zawodowe kontakty. Na tę myśl poczuła bolesne ukłucie zazdrości.

- Nie przedstawiliśmy się sobie jeszcze - powiedział, ignorując słowa Melanie Richards i wyciągając rękę do Laurel.

- Och, to jest Laurel Wright, jedna z naszych najmłodszych pielęgniarek - wyjaśniła obojętnie Melanie,

nadal wpatrując się w lekarza jak wygłodniały łasuch w ogromne pudło belgijskich czekoladek. - A to doktor Ros... Rostro...

- Rostropowicz. - Zacisnął palce na dłoni Laurel, gdy ta chciała ją szybko cofnąć. - Dmitri Rostropowicz. Ale proszę do mnie mówić...

- Bardzo mi miło, doktorze Rostropowicz - odpowiedziała szybko. Choć nie dała tego po sobie poznać, rozbawił ją widok kwaśnej miny przełożonej. Poza tym fakt, że nie była w stanie wymówić nazwiska lekarza, wyraźnie świadczył, że nie jest z nim blisko. - Tak jak ten słynny wiolonczelista?

Wreszcie zdołała uwolnić dłoń i szybko schowała ją za siebie, jakby wstydziła się okazać, że dotyk doktora Rostropowicza sprawił jej przyjemność.

- Pisze się tak samo, choć nie sądzę, byśmy byli jakoś spokrewnieni. Lubi pani jego muzykę?

- Tak, a szczególnie jedno wykonanie, to nagrane...

- Laurel, nie mamy czasu na pogawędki o muzyce - przerwała jej Melanie Richards. - Siostra Norris ma przerwę. Przejmujesz od niej opiekę nad Sweenym.

Laurel słyszała o tym po raz pierwszy, nie mogła jednak przepuścić takiej okazji. Wreszcie otrzymała pierwsze poważne zadanie.

- Porozmawiamy o muzyce innym razem - zaproponował uprzejmie Dmitri. - Teraz obejrzę z panią tego Sweeny'ego.

Laurel dostrzegła w oczach przełożonej błysk złości, co dało jej do myślenia. Przecież Melanie powinna wiedzieć, że przystojny lekarz chce obejrzyć dziecko ze względów li tylko zawodowych... Siostra Richards była piękną młodą kobietą o bujnym ciele, o jakim Laurel mogła tylko marzyć. Po latach pogardy, jakiej doświadczała ze strony Roberta Wainwrighta, utwierdziła się w przekonaniu, że nie ma w sobie niczego, czym mogłaby oczarować jakiegokolwiek mężczyznę. A już

na pewno nie teraz, gdy starała się nie zwracać na siebie uwagi, więc niespecjalnie dbała o urodę. Jeśli Robert Wainwright wytropi ją, zanim odnajdzie siostrę, wszystkie jej plany legną w gruzach. Laurel nie miała wątpliwości, że ten człowiek nie będzie przebierał w środkach, by tylko osiągnąć swój cel.

Wzdrygnęła się. Postanowiła pomyśleć o czymś przyjemniejszym. Na przykład o niespodziewanych awansach przystojnego lekarza.

Czyżby jej starania o wtopienie się w tło na nic się nie zdały? Dmitri Rostropowicz zbyt długo się jej przyglądał. Dostrzegła to, bo sama nie mogła się powstrzymać i zerknęła na niego ukradkowo, choć była zajęta przepisywaniem z ekranu do karty pomiarów temperatury i ciśnienia krwi Jasona Sweeny'ego.

Niestety matka Jasona, która prawie nie odstępowała od łóżka syna, spostrzegła, co się święci.

- Ale przystojny, prawda, siostró? - zapytała niby od niechcienia i uśmiechnęła się.

Laurel poczuła oblewającą ją falę gorąca. Zawieszając kartę na poręczy łóżka, przygryzła wargę. Musiała znaleźć jakiś sposób, by wykręcić się od odpowiedzi.

- A więc, siostró? - zapytał doktor Rostropowicz z przekornym błyskiem w oku.

Stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, jakby mógł cały dzień czekać na odpowiedź.

- Zgadza się siostra z opinią pani Sweeny?

Laurel ogarnął dobrze znany niepokój. Chciała zapaść się pod ziemię.

Co by sobie pomyślał, gdyby wyczuł jej tchórzostwo? Pewnie uznałby ją za godną litości, zakompleksioną kobiecinę... Przecież nie wiedział o latach spędzonych w

domu Roberta Wainwrighta, gdzie jej najmniejszy opór łamano kolejną porcją środków uspokajających.

Postanowiła więc milczeć, zignorować tę parę prowokatorów, czy też niewczesnych żartownisiów, lecz zarazem zaczął budzić się w niej gniew. Musiała znaleźć jakieś wyjście z nieznośnej sytuacji.

Nagle jej emocje uległy zmianie. Po raz pierwszy coś się w niej przełamało. Może stało się tak pod wpływem tych oczu z płynnego srebra?

Dokładnie zlustrowała wzrokiem całą sylwetkę doktora Rostropowicza, podrapała się po głowie w głębokim namyśle, a potem zawyrokowała z poważną miną:

- Szpetny nie jest, a nawet, powiedziałabym, można go uznać za przystojnego, pani Sweeny. - Z krytyczną miną znów zaczęła oglądać doktora. - To znaczy jeśli się lubi długich jak tyka chudzielców.

Pani Sweeny roześmiała się.

- No i ma pan za swoje! - Jej smutne z powodu choroby syna oczy rozbliły radością. - Widzi pan, jak to jest? My, kobiety, potrafimy pokazać mężczyznom, gdzie ich miejsce.

Laurel wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź doktora. Co ją podkusiło, żeby robić taki błazeński popis? Nie dość, że zwróciła na siebie uwagę, to jeszcze naraziła się na tak dobrze jej znany męski gniew.

Lecz ku jej zdumieniu Dmitri Rostropowicz zachichotał.

- O tak, pani Sweeny, lubię kobiety, które radzą sobie z facetami i potrafią przywołać ich do porządku. Kłopot w tym, że większość z nas nie zna swojego miejsca, dopóki jakaś kobieta go nie wskaże. Bez was jesteśmy jak pijane dzieci we mgle.

Z jego oczu emanowało ciepło, które udzieliło się Laurel. Jakby omiotły ją promienie na słonecznej plaży. Spodobało się jej to. Może...

- Jeszcze siostra nie skończyła? - usłyszała ostry jak brzytwa głos Melanie Richards. - Myślałam, że umie siostra wykonywać swoją pracę, a najbardziej zielony student zrobiłby to szybciej.

- Przepraszam...

Laurel odpowiedziała odruchowo, choć wiedziała, że nie zrobiła nic złego.

- To moja wina - łagodnie wtrącił się Dmitri, choć w jego oczach nie pozostał już nawet cień uśmiechu. - Przeszkodziłem siostrze, choć nie wpłynęło to w najmniejszym stopniu na jakość wykonanych przez nią czynności.

- Och, no cóż, ja... - Zbita z tropu Melanie szybko się wycofała.

- Poza tym siostra Laurel jest bardzo delikatna - dodała od siebie pani Sweeny. - Nie jak niektóre pielęgniarki. Czasami wydaje się, że chcą zrobić wszystko naraz i niczego nie robią naprawdę.

- Tak, ma pani rację. Siostra Norris już wróciła. Laurel, możesz odnieść te papiery do administracji - ucięła rozmowę Melanie, Potem, już z uśmiechem, zwróciła się do Dmitriego Rostropowicza: - Panie doktorze, ma pan ochotę na herbatę albo kawę?

- Dziękuję, ale wolałbym obejrzeć oddział.

- Oczywiście, proszę się rozejrzeć. Po drodze odpowiem na wszystkie pytania.

Czy ta kobieta nie słyszała nigdy o elementarnym takcie i poczuciu przyzwoitości? - zastanawiała się Laurel, otwierając ramieniem drzwi.

- Nie chcę zajmować pani cennego czasu - usłyszała jeszcze jego stanowczy głos. - Sam zapoznam się z oddziałem. Gdybym miał jakieś pytania, zadam je pani później.

- Dobrze, oczywiście, skoro tak pan woli. Rozdrażnienie Melanie poprawiło Laurel humor, tak że rutynowe, jałowe zajęcia po raz pierwszy jej nie nużyły. Dobrze wiedzieć, że nowy lekarz nie daje się złapać na lep słodkich słówek. Niełatwo nim manipulować.

Może nawet mógłby coś zrobić, żeby wreszcie szpital odniósł wymierne korzyści z obecności Laurel na oddziale? Pielęgniarki miały bardzo dużo pracy, brakowało wykwalifikowanego personelu, i przy całym jej braku doświadczenia z powodzeniem mogła wykonywać nawet dość skomplikowane i odpowiedzialne zadania. Niestety wciąż obarczano ją pracami, które mógł wykonać portier.

Dobry nastrój Laurel wkrótce się jednak zmienił pod wpływem kłębowiska sprzecznych myśli. A wszystko przez doktora Dmitriego Rostropowicza.

Co w nim takiego jest?

Poznała go dopiero dziś rano, a już zdążył wprowadzić zamęt do spokojnego, uporządkowanego życia, jakie sobie stworzyła.

Przede wszystkim obudził jej emocje. Nie tak dawno szykowała się do poślubienia kogoś, do kogo nie żywiła żadnych uczuć, a teraz poznała mężczyznę, który rozgrzewał jej krew do stanu wrzenia samym tylko brzmieniem głosu i figlarnym uśmiechem.

Tak bardzo chciałyby zapoznać się bliżej z tym uczuciem, zarazem jednak wiedziała, że absolutnie nie może sobie na to pozwolić. Musiała nieustannie pamiętać, dlaczego znalazła się w tym szpitalu.

Gdyby pozostała w domu, byłaby już mężatką. Zdecydowałyby się na ten krok, by uciec od karcących spojrzeń Roberta Wainwrighta. Teraz zaś poznała Dmitriego tylko dlatego, że desperacko poszukiwała siostry. Stało się to

możliwe dzięki zmianie nazwiska i opuszczeniu dawnego środowiska.

Instyktownie jednak czuła, że Dmitri uznał ją za atrakcyjną. No cóż, przynajmniej wolał jej towarzystwo od Melanie.

Kto wie, jak sytuacja się rozwinie? Po raz pierwszy od bardzo dawna nie mogła się doczekać dalszego biegu wydarzeń.

- Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz - szepnęła.

Oddech utworzył kłęb pary widoczny nawet w ciemnym wnętrzu rozbitego samochodu.

Straciła poczucie czasu. Nie miała pojęcia, jak długo tu przebywa. O tej porze roku zmrok zaczynał zapadać już o szesnastej, a rozwidniało się dopiero o siódmej rano, więc trudno było się zorientować, która naprawdę jest godzina. Spojrzała na fosforyzującą tarczę zegarka. Piętnaście po czwartej. Po południu czy nad ranem?

Po chwili doszła z przerażeniem do wniosku, że to jednak popołudnie. Zrobiło się trochę jaśniej tylko dlatego, że okolicę pokrył biały śnieg.

Żałowała, że powróciła do ponurej rzeczywistości. O wiele przyjemniej było wspominać pierwsze dni znajomości z Dmitrim.

Nie wiedziała, czy biegnącą powyżej drogą przejeżdżały jeszcze jakieś samochody. Pora była wczesna, ale śnieżycą mogła wystraszyć kierowców. Wygodnie odpoczywali w domach i motelach...

Co za ironia losu! Przez rok modliła się, żeby nikt jej nie odnalazł, a teraz czekała na to jak na wybawienie.

Ponownie poczuła kopnięcie. No cóż, jej dziecko przypomina o swojej obecności.

- Tak, ty też tu jesteś - szepnęła. - Niestety w niczym nie możesz mi pomóc.

To właśnie wypukły brzuch uniemożliwił Laurel odpięcie pasa. Brzuch i obawa, że samochód straci równowagę i runie w przepaść.

Wykręciła się do tyłu. Wyruszając rano w drogę, rzuciła na tylne siedzenie dwie małe torby zawierające wszystkie doczesne dobra, jakie przez rok zgromadziła. Gdyby tam sięgnęła, zdobyłaby coś ciepłego do okrycia.

Niestety bliższa torba zawierała tylko małe ubranka, które uszyła lub zrobiła na drutach, czekając na narodziny dziecka.

- Rękawiczki mogłabym założyć na dwa palce - próbowała żartem odpędzić strach.

Laurel wiedziała, że służby ratownicze zalecają w takiej sytuacji pozostanie w samochodzie, bowiem w innym wypadku można się zgubić i zamarznąć. W aucie mogła wytrzymać dłużej, zwłaszcza że miała na sobie ciepły żakiet, choć rzecz jasna nie dość gruby, żeby zapewnić wystarczającą ochronę przed mrozem.

W nocy, przy temperaturze nieco poniżej zera, mogą wystąpić objawy hipotermii. A gdyby ochłodziło się jeszcze bardziej...

Pracując na oddziale, przekonała się, jak ważna jest temperatura dla noworodków walczących o przeżycie, nie wiedziała jednak, jak hipotermia może wpłynąć na płód. Modliła się żarliwie, by nie musiała się o tym sama przekonywać.

Postawiła kołnierz żakietu i wsunęła dłonie do przeciwległych rękawów.

- Gdybym tylko...? - wypowiedziała magiczne słowa, uciekając w swą ulubioną grę z dzieciństwa.

Gdy Robert Wainwright stawał się nie do zniesienia, chroniła się w wymyślonym świecie, do którego tylko ona miała wstęp.

Jako mała dziewczynka opowiadała ulubionej lalce, że w rzeczywistości jest księżniczką. Pewnego dnia jej rodzice - król i królowa z pięknego, dalekiego królestwa - przyjadą po nią, a potem wszyscy będą żyć długo i szczęśliwie.

Z biegiem lat, pod wpływem nowych lektur i doświadczeń, zmieniały się istotne fakty i drobne szczegóły, poza stałym pragnieniem, by wyrwać się spod wpływów Roberta Wainwrighta.

Teraz, gdy zrealizowała to marzenie, przypadek sprawił, że tkwiła uwięziona we wraku pojazdu i wszystko może zostać zniweczone.

Przywołała się do porządku. Musi sobie wyobrazić, jak mogłaby się uratować.

- Gdybym tylko... - Ujrzała oczy z płynnego srebra i poczuła głęboki żal w sercu. To takie łatwe. - Gdybym tylko nie opuściła Dmitriego - szepnęła przez łzy. Zaciśnęła powieki, by się nie rozpłakać. Zdawała sobie sprawę, że gdy ujrzała czarny samochód z dobrze znaną sylwetką kierowcy, nie miała już wyboru.

W swych fantazjach Laurel zauważyła jednak, że czarny samochód zwolnił, wjeżdżając przez bramę, za którą chwilę wcześniej zniknął samochód Dmitriego.

Już na autostradzie wyobraziła sobie, że przemknęła koło niej metaliczna szafirowa plama - ukochany sportowy wóz Dmitriego. Gdy jednak przyjrzała się uważniej, dostrzegła tylko obce samochody osobowe i jakąś ciężarówkę.

Zresztą to nie mógł być Dmitri. Od czasu, gdy go opuściła, minęło wiele miesięcy. Pewnie wrócił już do Rosji i zapomniał o niej.

Tak jednak nie mogłoby się stać w jej wyobraźni. Nie o tym marzyła.

Oglądała w myślach cudowny film. Dmitri dostrzega zrujnowany murek i rozbity samochód. Telefonuje po pomoc,

potem wyskakuje ze swojego pojazdu i zsuwa się po zboczu, by wydobyć ją z samochodu i zapewnić o swej miłości.

Westchnęła. Fantazja wkroczyła do królestwa niemożliwości. Rozwiało się już zbyt wiele iluzji, by Laurel mogła pozostać w wyimaginowanym świecie, który stworzyła sobie jako dziecko.

Gdyby nie odeszła, nie znalazłaby się na tej drodze. Pracowałyby na oddziale i czekała, by choć z daleka ujrzeć Dmitriego.

Dziecko znów się poruszyło, na dobre przywracając ją do strasznej rzeczywistości.

Nie, nawet gdyby została, z pewnością nie byłaby teraz w pracy - z powodu zaawansowanej ciąży.

- To za piętnaście dni, jeśli będziesz punktualny - mruknęła, czując, że nie może się już doczekać. Chciałaby jak najprędzej wziąć niemowlę w ramiona.

Rzecz jasna wiedziała, że pierwsze dziecko często się spóźnia. Do porodu może pozostawać jeszcze cały miesiąc.

- O ile jakoś się stąd wykaraskam - powiedziała na głos i zadrżała. Myśl, że po tych wszystkich miesiącach nie doczekałaby widoku maleństwa, była nie do zniesienia. - Nie, tak się nie stanie - powtarzała raz po raz, starając się, by brzmiało to przekonująco. - Na pewno ktoś zauważy uszkodzony murek i samochód, a potem wezwie pomoc. Wtedy ty i ja... Hej! - Przyszła jej nagle do głowy pewna myśl. - Z pewnością zabiorą nas na obserwację i badanie do szpitala w Edenthwaite. O ile wiem, innego w tej okolicy nie ma.

Tę informację uzyskała łatwo, nie tak, jak o miejscu pobytu siostry. Zresztą gdyby nawet stanęła z nią twarzą w twarz, nie rozpoznałaby jej, chyba że są bliźniaczkami jednojajowymi, tego jednak nie wiedziała.

- Kiedy już się upewnię, że z tobą wszystko w porządku - poinformowałam dziecko - zapytam, czy moja siostra ma dyżur i poproszę, żeby mnie z nią skontaktowali, a wtedy...

Zdawała sobie sprawę, że mówi coraz bardziej chaotycznie. Temperatura w samochodzie spadała. Laurel drżała z zimna i szczękała zębami. Mimo to ogarniała ją senność. Powieki coraz bardziej ciążyły. Ostatkiem sił walczyła, by nie zamknąć oczu.

Była tak bardzo wyczerpana, musiała zasnąć. Może gdy się obudzi, ze świeżym umysłem wymyśli coś, znajdzie sposób, by się wydostać, uratować...

ROZDZIAŁ TRZECI

Dmitri niespokojnie przemierzał wąską przestrzeń pomiędzy dwoma łózkami, które zajmowały niemal całą powierzchnię hotelowego pokoju. Do ucha mocno przyciskał słuchawkę.

- Halo, czy może mi pani pomóc? - rozpoczął uprzednio przygotowaną przemowę. - Muszę wiedzieć, czy zatrzymała się u państwa Laurel Wright. Powinna przyjechać dziś samochodem.

- Przepraszam, ale nie udzielamy informacji o naszych gościach - padła chłodna odpowiedź.

Jęknął. Rozumiał i szanował prawo do prywatności, w tym wypadku chodziło jednak o coś ważniejszego.

- Ona na mnie czeka - dodał szybko. Trzymał się wymyślonej historyjki. Kobieta może w każdej chwili przerwać połączenie. - Nie przewidywałem, że będę się mógł wyrwać z pracy. Wyjechałem nagle, a potem zauważyłem, że zgubiłem kartkę z nazwą hotelu.

- Hm, może i tak, ale nikt taki u nas nie mieszka. Powiedział pan: Wright?

- Tak, Laurel Wright - potwierdził zdecydowanie, nie dopuszczając do siebie myśli, że mogła się zameldować pod innym nazwiskiem.

Jak ją wtedy odnajdzie? W popularnej wśród turystów okolicy znajdowały się setki hoteli i pensjonatów, nie licząc już pojedynczych pokoi wynajmowanych przez rolników. Z uwagi na zbliżające się święta Bożego Narodzenia większość z hoteli nie działała, nie wiedział jednak które, więc musiał telefonować do wszystkich.

- Jest szczupła, ma długie blond włosy i oczy w kolorze miodu - dodał z nadzieją. - I piękny uśmiech.

- Nieźle. - W głosie rozmówczyni zabrzmiał cieplejszy ton. - Niestety tu nie mieszka. Spodziewamy się gości dopiero na Wielkanoc.

Dmitri podziękował i odłożył słuchawkę, by zakląć w ojczystym języku. Sprawa wygląda beznadziejnie. Podeszedł do okna i wyjrzał na jasno oświetlony plac.

Na środku, koło jakiegoś pomnika, ustawiono choinkę obwieszoną kolorowymi lampkami. Większość domów udekorowano już w ten czy inny sposób na święta. Przez ulicę przemykali od czasu do czasu obładowani zakupami ludzie, ciepło opatuleni z powodu śnieżycy.

Dmitri zateśknął za domem. Porównał go z tym malowniczym małym miasteczkiem. Tutaj, w Anglii, panuje względnie łagodny klimat. Mimo zamieci temperatura spadła niewiele poniżej zera. O tej porze roku w Rosji ścisnął siarczysty mróz. Brak rękawiczek mógł doprowadzić do utraty palców.

W Rosji przy takiej pogodzie nikt nie spacerował ulicami, jak ta para, która zatrzymała się, żeby obejrzeć drzewko. Kobieta śmiała się ze swego towarzysza, gdy ten próbował złowić językiem płatek śniegu.

Urokliwa niewinność tej scenki sprawiła, że przyjrzał się kobiecie.

W ostatnich miesiącach wielokrotnie mu się wydawało, że widzi Laurel. Przyzwyczał się do tego i przestał wreszcie gwałtownie reagować. Lekki, swobodny krok, kolor włosów czy miły śmiech charakteryzowały nie tylko jego ukochaną.

Ta kobieta jednak...

Odwróciła się i ujrzał jej twarz. Twarz, której tak długo wypatrywał.

- Laurel! - zawołał z niedowierzaniem.

Przez chwilę stał jak sparaliżowany, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Jest taka piękna.

Jak mógłby zapomnieć tę radosną twarz? Śmiech zmieniał ją w inną osobę, zwykle skrywającą się pod chłodną maską poważnej, profesjonalnej pielęgniarki. Zmieniał nie do poznania, wtedy jednak tylko, gdy była z nim... Dawniej. Teraz towarzyszył jej inny mężczyzna.

Para ruszyła w dalszą drogę. Dmitri oprzytomniał i rzucił się do drzwi.

Miał na tyle rozsądku, by w biegu porwać palto i klucz do hotelowego pokoju. Nie czekał na windę, tylko popędził w dół schodami.

Z mocno bijącym sercem wypadł na zewnątrz. Narzucając palto, przeszukiwał wzrokiem pokryty już całkowicie śniegiem plac.

- Zniknęła - szepnął z niedowierzaniem i rozpaczą.

Nie dostrzegł już nikogo. Ani Laurel, ani towarzyszącego jej mężczyzny. Mężczyzny? Dopiero teraz pojął, co może oznaczać jego obecność. Całymi miesiącami myślał o Laurel, zastanawiał się, dlaczego odeszła, podczas gdy... No cóż, wygląda na to, że po prostu o nim zapomniała, jakby nigdy nie istniał.

Zamknął oczy, gdyż poczuł pod powiekami pieczenie. Z pewnością od śniegu. Przecież nie zbiera mu się na płacz z powodu jakiejś niestałej dziewczyny. Objął się ramionami, by choćby w ten sposób zdusić narastający w nim ból.

Tak, bolało, i to znacznie bardziej, niż mógłby oczekiwać. Musiał wreszcie przyznać, że żywił złudne nadzieje. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wmawiał sobie, że gdy odnajdzie Laurel, ta przedstawi mu jakieś logiczne wyjaśnienie i wyzna, że tęskniła za nim tak samo jak on za nią.

W jego wyobraźni rzucała się mu w ramiona, na przemian śmiejąc się i płacząc, przyrzekając, że już nigdy go nie opuści.

Przejmujący ziąb spowodowany wiatrem dawał się we znaki mimo stosunkowo niewielkiego mrozu. Dmitri odwrócił się i ruszył poszukać schronienia w zaciszu hotelu. Pokonał połowę drogi na swoje piętro, gdy nagle coś kazało mu zawrócić.

- Nie! - szepnął zdecydowanie. - Nie zrezygnuję, dopóki z nią nie porozmawiam. W przeciwnym wypadku nigdy się nie dowiem, co zaszło.

Dotarł do samochodu, odgarnął śnieg z szyb, wsiadł i ruszył.

- Denison Memorial, warto sprawdzić - mruknął do siebie, gdy ujrzał drogowskaz wskazujący kierunek do miejscowego szpitala.

Dzięki prywatnemu śledztwu zdołał ustalić, że Laurel pracowała w ostatnich miesiącach w kilku szpitalach, w żadnym nie pozostając zbyt długo. Może przyjechała do Edenthwaite właśnie po to, by objąć kolejną posadę? Łatwo sprawdzić, jeśli tylko nadal posługuje się własnym nazwiskiem.

Widok szpitala sprawił mu miłą niespodziankę. Budynek okazał się znacznie nowocześniejszy, niż oczekiwał, do tego okolica była malownicza.

Co go to jednak obchodzi? Kierując się oznaczeniami, odnalazł biuro dyrektora szpitala.

Tam czekała go kolejna niespodzianka. Dyrektor okazał się właśnie tym mężczyzną, który na placu próbował łapać na język płatki śniegu.

- Bardzo proszę, niech pan usiądzie. Czym mogę służyć, doktorze Rostropowicz? - zapytał, gdy Dmitri się przedstawił.

- Mam nadzieję, że pomoże mi pan odnaleźć jedną z pracujących tu osób - wyjaśnił z ciężkim sercem, gdyż znał już chyba odpowiedź na zadawane sobie od dawna pytanie. - Szukam Laurel Wright. .

Musiał w duchu przyznać, że dyrektor potrafił nad sobą panować. Na dźwięk nazwiska osoby, która zapewne wiele dla niego znaczyła, nawet nie drgnął.

- Niestety nie pracuje tu nikt taki - odparł uprzejmie. - Z tym jednak.

- Ale ja ją widziałem - przerwał mu szorstko Dmitri. Zdawał sobie sprawę, że wypowiedział te słowa oskarżycielskim tonem. - Niecałą godzinę temu spacerował pan z nią po placu z choinką.

Dyrektor uniósł dłoń i sięgnął po słuchawkę.

- Siostrzyczko Fletcher, wygospodaruj siostrzyczko chwilkę? - Zaśmiał się, gdy usłyszał odpowiedź. Zaśmiał się jak do kogoś bliskiego. - Nie - kontynuował - ale mam gościa, który chciałby o czymś porozmawiać. Tylko pięć minut?

Dmitri wstał. Zaczął nerwowo chodzić po gabinecie jak zwierzę uwięzione w klatce.

Nie spodziewał się, że jego poszukiwania tak szybko osiągną kres. Miał w głowie zamęt. Zanim Laurel się zjawi, on musi sobie wszystko zrekapitulować.

Dyrektor szpitala najwidoczniej pozostawał z nią w bliskich stosunkach. Nazywał się Marc Fletcher. Skoro zwracał się do niej, używając tego nazwiska, musiała być jego żoną.

Za chwilę ujrzy Laurel, kobietę, która od niego odeszła. Nie miał pojęcia, co jej powie. Sytuację dodatkowo komplikowała obecność mężczyzny, który najwyraźniej zajął jego miejsce.

Spojrzał na dyrektora, dostrzegł w jego szarych oczach iskierki humoru. Przede wszystkim musi nad sobą panować, nie może dać ujścia gwałtownym uczuciom, które się w nim kłębią. W końcu to nie wina Marca Fletchera, że zakochał się w Laurel i się z nią ożenił. Przecież nie wiedział, że odeszła od...

Zapukała i weszła z uśmiechem, który mógł roztopić górę lodową... tyle że był on skierowany do mężczyzny za biurkiem, który na jej widok wstał.

Dmitri poczuł, że ma w gardle dużą gulę. Oparł się o parapet. Ta sama nieświadoma zalotność, te same oczy w kolorze miodu... Nigdy nie zapomni, jak pociemniały, gdy wziął ją po raz pierwszy w ramiona i pocałował.

- Lauren.

Dyrektor wyszedł z uśmiechem z za biurka i objął ją lekko na powitanie. Chciała go pocałować, on jednak wskazał Dmitriego.

- Nie jesteśmy sami, Lauren - ostrzegł. - To jest doktor Dmitri Rostropowicz, który szuka Laurel Wright. Doktorze, to moja żona Lauren Fletcher, z domu Scott.

- Nie musi pan nas sobie przedstawiać - rzucił gorzko Dmitri, nie zwracając uwagi na treść wypowiedzianych do niego słów. Nie odrywał od kobiety oskarżycielskiego wzroku. Jak mógł kiedykolwiek uważać, że można jej wierzyć? - To jest Laurel, którą poznałem rok temu i która po czterech miesiącach nagle zniknęła.

Czuł się zdradzony już wtedy, gdy odeszła, teraz jednak, gdy widział ją w ramionach innego, poczuł, że pęka mu serce. Wyszła za mąż i miała czelność uśmiechać się, jakby w ogóle nie Uczyło się to, co zaszło wcześniej.

Zawsze zastanawiał się, dlaczego odeszła w taki sposób, zwłaszcza po tamtej nocy. Sądził jednak, że miała jakiś ważny powód. Właściwie był pewien. Laurel nie jest osobą, której sprawiałoby przyjemność ranienie innych. A może jednak? Teraz nie okazywała żadnej skruchy. W ogóle zachowywała się, jakby go nie znała.

Im dłużej na nią patrzył, tym więcej dostrzegał w niej zmian. Począwszy od krótszej, bardziej wymyślnej i

kokieteryjnej fryzury, skończywszy na aurze pewności siebie, która przemieniała ją w niemal inną osobę.

- Przepraszam, doktorze Rostropowicz, ale my się naprawdę nie znamy. Widzi pan...

- To nie jest nieprawda! - uciał ze złością. Obca gramatyka ulotniła się pod wpływem gwałtownych uczuć.

- Rozumiem, że nie chcesz opowiadać mężowi o swoim wcześniejszym życiu, ale... ale te kłamstwa...

Uniósł ręce, zdając sobie sprawę, że jego wymowa również staje się coraz gorsza. Za chwilę nakrzyczałby na tę kobietę po rosyjsku.

- Proszę, niech pan posłucha! - Duże, złocistobrązowe oczy mogły w każdej chwili wypełnić się łzami.

- Nie nazywam się Laurel, lecz Lauren. Laurel Wainwright albo Wright, bo pod takim nazwiskiem pan ją poznał, jest moją siostrą bliźniaczką.

- Bliźniaczką? - powtórzył zdumiony.

- Proszę, niech pan usiądzie.

Podsunęła mu krzesło. Zorientował się, że w oczach tych obcych ludzi musi wyglądać kompletnie bezradnie. Tak zresztą się czuł. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Dlaczego Laurel nie zdradziła mu, że ma siostrę?

- Proszę - usłyszał głęboki, męski głos. Pojawiła się przed nim filiżanka kawy. - A może woli pan coś mocniejszego?

- Niet. - Pokręcił głową. - Nie, dziękuję, napiję się kawy.

Pociągnął głęboki łyk, oparzył się. Ten nagły bodziec przywrócił mu zdolność prawidłowego rozumowania.

- Przepraszam za... za to. Proszę mi wybaczyć. Byłem przekonany...

- Nie jest pan pierwszą osobą, która się pomyliła - powiedziała Lauren, rzucając mężowi porozumiewawcze spojrzenie. - Jesteśmy do siebie uderzająco podobne.

- Zatem dziś po południu, na autostradzie, to pani, a nie Laurel jechała w kierunku Edenthwaite? - Poczuł, że ogarnia go zniechęcenie. Przyjechał tu ożywiony nadzieją, a okazało się, że to tylko pomyłka. - Byłem przekonany...

- Nie, to nie ja! - krzyknęła Lauren. - Jest pan pewien, że widział ją pan dzisiaj? Jechała w kierunku Edenthwaite?

- Tak. Zauważyłem ją, zanim zaczął padać śnieg. Wyprzedzałem samochód, za kierownicą siedziała pani... ona... Czysty przypadek. Czekałem, aż się gdzieś zatrzyma, ale nagle zjechała z autostrady. Był gruzawik... ciężarówka. Kiedy się zorientowałem, przejechałem już zjazd. Musiałem jechać dalej i zawrócić. Potem jej szukałem, ale bezskutecznie.

- Sądzi pan, że naprawdę jechała do Edenthwaite?

- To wy mi powiedzcie. - Wzruszył ramionami, zdziwiony tymi pytaniami. Rozumiał, że można tęsknić za kimś z rodziny, sam chciał odwiedzić babcię Anuszkę. Siostry dzieliło jednak tylko kilka godzin jazdy autostradą. - Kiedy miała przyjechać? Zostanie na Boże Narodzenie?

- Nie wiem - odparła Lauren z wyjaśnieniami dziwnie oczami. - Nigdy się nie spotkałyśmy. Dopiero kilka tygodni temu dowiedziałam się o jej istnieniu. Nie widziałam nawet jej fotografii.

- Aj, boli! - jęknęła Laurel, otwierając oczy. Czowała się rozbita, otumaniona zmęczeniem. A może to od tego uderzenia w głowę? Mogła mieć wstrząs mózgu, gdyż pomimo niewygodnej pozycji wciąż była bardzo senna. Kabina samochodu chroniła przynajmniej od wiatru, temperatura jakby się ustabilizowała... a może ona z wyczerpania nie odczuwa już zimna?

Spróbowała się poruszyć, lecz bolesny skurcz w karku sprawił, że zrezygnowała. Pas wpijał się w żebra, teraz jednak rozpięcie go stało się już zupełnie niemożliwe. Specjalne

urządzenie dla ciężarnych kobiet, nie pozwalające, by pasy uciskały zbyt mocno, utrudniało dodatkowo dostęp do zatrzasku.

Tego już za wiele.

Wszystkiego za wiele.

Ucieczka, konieczność ukrywania się, opuszczenie Dmitriego, przy którym zostało jej serce. Wypadek, gdy wreszcie znalazła się tak blisko celu... Tak, za dużo tego wszystkiego. Niekiedy wydawało się, że za wiele już tego całego życia.

- Au! .

Z wysiłkiem dotknęła dłonią brzucha w miejscu, w którym małeńka kończyła wymierzyć jej od środka kolejny cios.

Zamknęła oczy. Zaledwie dwa centymetry dzieliły jej dłoń od małej stopki.

- Kocham cię - szepnęła, przełykając łzy.

Po raz nie wiadomo który zastanawiała się, czy istotka, którą nosi w sobie, będzie podobna do Dmitriego.

Laurel miała nadzieję, że tak. W ten sposób dziecko będzie jej przypominać jedyne go mężczyznę, którego kiedykolwiek kochała. Zarazem jednak stanie się bolesnym wspomnieniem po utraconej miłości, która powołała je do życia.

Dziecko?

Westchnęła. Żałowała teraz, że po pierwszej ultrasonografii nie zapytała o płęć. Wystarczyło jej, że niewyraźny obraz na ekranie pozwalał dostrzec małeńkie, bijące serce. Zastanawiała się wtedy, jak w ogóle można w takich warunkach zauważyć coś więcej poza raczkami i nóżkami.

Zmarszczyła brwi, gdy przypomniła sobie, jak z powodu kolejnej przeprowadzki musiała odwołać następną wizytę.

Musiały jej wystarczyć wykonywane w spokojniejszych chwilach pomiary ciśnienia.

Nic zresztą nie wskazywało na to, by rozwój dziecka przebiegał nieprawidłowo. Laurel zrobiła się wielka jak hipopotam, choć do wyznaczonego terminu porodu pozostały jeszcze dwa tygodnie.

Jak mogła jednak przewidzieć, że przed wydaniem na świat dziecka znajdzie się w takiej sytuacji? Uwięziona w przechylnym samochodzie podczas burzy śnieżnej w Górach Kumbryjskich, w niewygodnej pozycji, zawieszona na pasach. Niewygodnej? Cóż z tego? Już od miesiący bolały ją plecy. Do niewygody zdążyła przywyknąć.

Jeśli o czymś marzyła, jeszcze wtedy, gdy nie myślała o ucieczce z domu, to o mężu, który równie niecierpliwie jak ona czekałby na narodziny dziecka. O mężczyźnie, który teraz rozmasowałby jej bolący kark, pomyślała z gorzkim uśmiechem. O kimś, kto przelewałby na nią swoją siłę, pomagał wstać z fotela, a jeszcze lepiej podawał herbatę, żeby w ogóle nie musiała wstawać.

Gdy zaszła w ciążę, mglista postać, która pojawiała się w jej marzeniach, miała twarz Dmitriego. To jego ręce masowałyby jej kark i zmęczone stopy. To jego ręce obejmowałyby ją, przytrzymałyby, żeby mogła przed snem wygodnie się ułożyć.

Nie mogła na to liczyć. Nie dopuszczała myśli, że jeszcze kiedyś go spotka, nawet po odnalezieniu siostry. Takie spotkanie sprawiłoby im zbyt wielki ból.

Coraz częściej zresztą wątpiła, czy w ogóle siostrę odnajdzie. Może kiedyś, ale czy stanie się to wystarczająco prędko, by pokrzyżować plany Roberta Wainwrighta? Niemożliwe.

Nie powstrzymywało jej to od poszukiwań. Uparcie dążyła każdym śladem, chwytając się każdego tropu jak tonący brzytwa.

Z listu matki dowiedziała się, że ona i siostra mają bardzo podobne imiona. Pewne, ujmując rzecz delikatnie, stojące na granicy legalności starania, doprowadziły Laurel do zidentyfikowania pary, która adoptowała jej siostrę bliźniaczkę. Ludzie ci jednak już zmarli, pozostawiając Lauren na łasce systemu państwowej opieki.

Dziewczyna, która przyjaźniła się z nią w sierocińcu, wspomniała, że Lauren zamierzała wybrać zawód związany z medycyną.

Laurel zdumiewała zbieżność upodobań, która sprawiła, że obie siostry obrały podobne kariery zawodowe. Czy takie same? Nie wiedziała. Zbliżyła się do celu, nie na tyle jednak, by się o tym przekonać.

Na pewno nie odnajdzie też Lauren na czas, by połączyć się z Dmitrim. Nawet gdyby dotarła do niej kilka miesięcy wcześniej, nic by to nie zmieniło. Dmitri na pewno od dawna jest już w Rosji, oddalony o tysiące kilometrów.

Zresztą, przypomniała sobie ze smutkiem, sposób, w jaki go zostawiła, gwarantował, że Dmitri nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego. Napisała tylko krótki list, bardziej przez wzgląd na siebie niż na niego.

Powieki ciążyły jej, jakby ktoś postawił na nich ołowiane ciężarki. Myśli przepływały przez głowę coraz wolniej. Mimo to świadomość, że jest tak blisko Edenthwaite, doprowadzała ją do płaczu. Nie, lepiej wspominać pierwsze szczęśliwe dni, które nastąpiły, gdy poznała Dmitriego. Praca na tym samym oddziale stała się czystą radością, niezależnie od spojrzeń Melanie Richards. Wydawało się wtedy, że życie otwiera przed Laurel nowe perspektywy.

- Jadłaś już? - zapytał Dmitri, gdy pewnego razu wyszła z szatni, upychając fartuch w plastikowej torbie. Wybierała się do domu.

- Dmitri! - krzyknęła radośnie. Najwidoczniej specjalnie na nią czekał. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z niestosowności swego okrzyku i dodała: - Przepraszam, doktorze Rostropowicz.

- Zdecydowanie wolę Dmitri - odparł. Naturalnym gestem wziął ją pod rękę i ruszyli do najbliższego wyjścia. - Na szczęście siostra Richards już nas nie obserwuje, więc możemy się zachowywać nieco bardziej swobodnie.

- Ale...

Nie dokończyła. Jak mogłaby się sprzeciwić, skoro wciąż myślała o Dmitrim, odkąd go tylko poznała?

- A zatem, czy już jadłaś? - powtórzył, gdy zatopili się w mroku grudniowego popołudnia.

- Nie, zamierzałam kupić po drodze pizzę.

- Pizzę? Śmieciowe jedzenie. Chcesz się czymś takim opychać? Chodź ze mną, zapraszam na pyszne rosyjskie danie ozu.

- A co to takiego? - zapytała ostrożnie, zdziwiona jego chłopięcym entuzjazmem.

- Kawalki mięsa w sosie. W pożywnym, bogatym, gęstym, pysznym sosie. Jest zawieszisty i smaczny. A pachnie? Ach, priekrasno! Wspaniale!

Roześmiała się, gdy cmoknął końce palców.

- Dokąd się wybieramy? Jest tutaj jakaś rosyjska restauracja?

- Restauracja? W żadnej nie gotują jak ja.

Laurel nie mogła odmówić, bo nie chciała. Dmitri już taki był, że nie sposób było mu się sprzeciwić. No i był pierwszym mężczyzną, który oferował jej własnoręcznie przyrządzony posiłek.

- Miałaś rację - przyznała po godzinie, gdy skosztowała potrawy. - Pracowałeś kiedyś jako szef kuchni?

- Nie, nie szef. Babuszka mnie nauczyła, kiedy z nią mieszkałem.

Dostrzegła w jego oczach cień, ślad jakichś bolesnych uczuć.

- Babuszka! - powtórzyła, przywołując wspomnienie z dzieciństwa. - Czy to taka drewniana lalka, w której jest mniejsza, i jeszcze mniejsza? Kiedyś dostałam taką w prezencie.

Nie pamiętała, co się z tym podarunkiem stało. Zapodział się gdzieś i nigdy się nie odnalazł.

- Taka lalka nazywa się babuszka albo matrioszka - potwierdził. - Ale babuszka... babcia Anuszka to moja... matka mojego ojca.

- Babcia? Jak to się stało, że z nią mieszkałeś? Spochmurniał i zacisnął usta, które utworzyły cienką linię. Laurel zorientowała się, że zapytała o coś smutnego. Zanim jednak zdążyła przeprosić i się wycofać, odpowiedział:

- Mój ojciec był żołnierzem. Dobrym żołnierzem - dodał cicho. W jego głosie pobrzmiwało echo dziecięcej dumy. - Zdarzył się jednak wypadek z działem.

- Wybuch - szepnęła, mając nadzieję, że podpowiadając słowo, nie przerwie opowieści.

- Tak, wybuch. Było za mało lekarzy, żeby ktoś mógł go uratować. Dobry żołnierz nie wrócił już do domu.

Laurel nie musiała zgadywać, jaki wstrząs spowodowała śmierć ojca. Widziała to w oczach Dmitriego.

- Później, gdy moja matka zachorowała i musiała pójść do szpitala, babcia Anuszka zabrała mnie do siebie.

Nie miała prawa pytać, ledwie знаła tego człowieka. Chciała jednak... musiała wiedzieć, co się wydarzyło.

- A potem?

- Mama umarła - odpowiedział cicho. - Myślę, że po śmierci ojca nie chciała już żyć... A teraz umiera babcia Anuszka. Na Alzheimera - dokończył bezradnie.

- Śmierć na raty - mruknęła, zdając sobie doskonale sprawę, jak trafne jest to określenie.

Skoro Dmitri pozostał ostatnim członkiem rodziny, mogła sobie wyobrazić, jak osamotniony się czuł, do tego daleko od domu.

- Teraz straciła już świadomość, ale na początku choroby, kiedy dobrze wiedziała, co się z nią dzieje i że nie ma na to lekarstwa...

Zabrakło mu słów. Emocje wzięły górę. Laurel podziwiała siłę, dzięki której zdołał się opanować, by kontynuować opowieść. Nad tym jednak, dlaczego zdradzał jej osobiste sprawy po tak krótkiej znajomości, będzie musiała się zastanowić później.

- Wtedy - ciągnął - poprosiła, żebym nie tracił czasu na rozpaczanie, tylko poświęcił się niesieniu pomocy innym ludziom. Dzięki temu może nadejdzie dzień, w którym ojcowie przestaną wykrwawiać się na śmierć, a babcie umierać na raty.

Usłuchał jej i został lekarzem. Ratował życie najdelikatniejszym, najmłodszym istotom. Zamieszkał tysiące kilometrów od domu, by zdobyć wiedzę, która pomoże mu ocalić coraz więcej istnień.

Odczekała, by zyskać pewność, że jej głos nie zdradzi, jak bliska była płaczu.

- Nauczyła cię też innych rzeczy, takich jak gotowanie - zauważyła niepewnie.

- Gotowanie?! - obruszył się. - Gotować może każdy, a babcia Anuszka zrobiła ze mnie największego mistrza patelni stąd do Władywostoku. - Wreszcie lekko się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Przecież nie rozplynęła się w powietrzu? - westchnął Dmitri. Był już u kresu wytrzymałości. - Jechaliśmy tą samą drogą, a tu ani śladu.

- Czy kiedy dojeżdżał pan do Edenthwaite, z przeciwka był duży ruch? - zapytała Lauren. - Jeśli moja siostra w ostatniej chwili zrezygnowała ze spotkania ze mną, mógł pan nie zauważyć jej samochodu jadącego od strony miasta, bo po prostu tego się pan nie spodziewał. Mogła też skręcić w jakąś boczną drogę.

- Niet. Nie zrobiłaby tego. Chciała poznać panią, swoją siostrę bliźniaczkę. W każdym razie już za autostradą, na szosie do miasta, widziałem tylko jeden samochód nadjeżdżający z przeciwka. Duży, czarny, jak rosyjskie wozy rządowe.

- Duży czarny samochód? - powtórzył z namysłem Marc, spoglądając znacząco na żonę. - Brzmi to nieprzyjemnie swojsko.

- Chodzi ci o Roberta Wainwrighta? - domyśliła się Lauren. - Był pewien, że to ja jestem Laurel, kiedy jednak przekonaliśmy go, że się pomylił, chyba wrócił do domu. Czy sądzisz, że...

- Bóg jeden wie - stwierdził ponuro Marc, sięgając po słuchawkę telefonu.

- Kim jest Robert Wainwright i co ma wspólnego z Laurel? - zapytał niecierpliwie Dmitri. Jak się domyślał, rozmowa dotyczyła ważnych kwestii, lecz on, jako niewtajemniczony w szczegóły, nic z tego nie rozumiał.

- Wyjaśnij to, Lauren - poprosił Marc, który czekał na połączenie. - Dzwonię na policję, może czegoś się dowiem.

Lauren wskazała Dmitriemu fotel w rogu pokoju. Sama przysiadła na poręczu drugiego.

- Robert Wainwright jest adopcyjnym ojcem Laurel. Poszukuje jej, odkąd mniej więcej rok temu opuściła dom. Chce ją sprowadzić z powrotem.

- Sprowadzić? Ale dlaczego? Ona ma dwadzieścia osiem lat i własne życie.

Dmitri potarł dłonią czoło. Próbował przemyśleć nową informację, ustalić jej znaczenie. Laurel z pewnością nie potrzebuje opieki. Z tego, czego dowiedział się o jej życiu, gdy razem pracowali, wynikało, że to właśnie z powodu adopcyjnego ojca musiała się nauczyć sama dbać o siebie.

Gdyby zresztą chciała, żeby ktoś się nią zaopiekował, - on sam zrobiłby to aż nadto chętnie.

- Nie wiemy nic pewnego, jesteśmy niestety skazani na domysły - wyjaśniła Lauren. - Robert Wainwright, jak mogliśmy go ocenić po krótkim spotkaniu, jest człowiekiem bardzo dominującym, a przy tym ma jakiś szczególny powód, by sprowadzić Laurel do domu. Wspomniał nawet, że musiała brać leki psychotropowe, by normalnie funkcjonować.

- Wzdor! - krzyknął Dmitri - Bzdura. Jest wykwalifikowaną pielęgniarką, pracuje na oddziale noworodków. Nie potrzebuje żadnych leków, żeby sobie poprawić nastrój.

Bez pozwolenia Laurel nie mógł zdradzić niczego więcej, wyraził więc tylko swoje głębokie przekonanie. Chociaż... Ogarnęły go wątpliwości. Może Laurel zniknęła tak nagle właśnie dlatego, że ma jakieś psychiczne problemy? Była też inna możliwość. Czyżby tak często zmieniała miejsce pobytu właśnie z powodu ojca?

- Tak, koniecznie chciał ją odnaleźć i ściągnąć do domu - potwierdził Marc, który skończył już rozmawiać przez telefon.

- Gwałtownie się tego domagał, kiedy myślał, że to ja jestem Laurel - dodała Lauren. - Sytuacja była bardzo nieprzyjemna, ale w rezultacie okazała się zbawienna w

skutkach, bowiem kiedy policjant porównywał jego twierdzenia z moimi, wyszło na jaw, że jesteśmy bliźniaczkami. Tuż po urodzeniu zostałyśmy rozdzielone i adoptowane przez inne rodziny.

- Teraz Lauren ma nadzieję, że jej siostra tu dotrze i wreszcie się poznają - powiedział Marc. - I oby tak się stało... Natomiast na policji dowiedziałem się tylko tyle, że ostatnio nie zgłoszono poważnego wypadku, żaden kierowca nie utknął też w śniegu. Regularnie odbywają rutynowe patrole. Obiecali, że dadzą mi znać, gdy się o czymś dowiedzą.

- A na razie...

Dmitri westchnął. Spokoju nie dawała mu myśl, że jadąc do Edenthwaite, przegapił coś ważnego.

- Na razie - weszła mu w słowo Lauren - możemy tylko przypuszczać, że albo Laurel zatrzymała się gdzieś na nocleg, albo znalazł ją ojciec i zabrał do domu, czy tego chciała, czy nie.

- Trzeba było chociaż zarezerwować hotel - wyszeptała Laurel. Jej ciche słowa wyraźnie zabrzmiały w ciszy, która zapadła po ucichnięciu wiatru. - Przynajmniej ktoś wiedziałby, że zaginęłam.

Na całym świecie nie było nikogo, kto miałby powód, by jej szukać, oczywiście poza Robertem Wainwrightem. Jednak jemu zależało na niej tylko dlatego, że jej zniknięcie burzyło jego plany.

Zaśmiała się gorzko na tę myśl

Przez długie lata musiał godzić się z obecnością przybranej córki, której nie znosił. Niecierpliwie czekał na śmierć jej matki. Przy okazji podważał wiarę Laurel we własną poczytalność. Nie miała pojęcia, że od niemowlęctwa była jego zakładniczką.

Z motywów nie do końca jasnych, gnana jakąś przemożną siłą, zgłosiła się jako wolontariuszka do pracy w miejscowym

hospicjum dla dzieci. Może pragnęła choć na kilka godzin dziennie wyrwać się z domu? Wolała jednak myśleć, że chodziło o nakaz serca, że chciała nieść ulgę bardzo pokrzywdzonym przez los, umierającym dzieciom.

A może było to przeznaczenie? I gdyby Laurel nie posłuchała tajemnego podszeptu i nie zgłosiła się do tej pracy, zmarnowałaby być może jedyną szansę na odmianę swego życia...

Jednak posłuchała, dzięki czemu rozpoczęła się w nim prawdziwa rewolucja. Zwłaszcza przyczyniły się do tego poranne pogawędki przy kawie z dyżurującą w hospicjum panią psycholog.

Ta starsza kobieta nie dowie się nigdy, jak ogromne następstwa wywołały jej słowa. Po jednej z takich rozmów Laurel starannie obejrzała tabletki, które od lat codziennie zażywała. Dwa lata zajęło jej zwalczenie uzależnienia od tych leków. Zyskała też pewność, że nigdy ich nie potrzebowała.

Nie miała pojęcia, co Robert Wainwright opowiedział lekarzowi rodzinnemu, żeby wyłudzić pierwszą receptę. Laurel pamiętała doktora jako miłego człowieka, który na pewno nie przepisałby nikomu niepotrzebnych, a już tym bardziej szkodliwych lekarstw.

Laurel postąpiła więc słusznie, odstawiając pigułki, choć oczywiście udawała, że nadal je zażywa. Uspiała czujność Roberta, który nie spodziewał się żadnych problemów nawet wtedy, gdy przybrana córka rozpoczęła szkołę pielęgniarstwa.

Gdy była na ostatnim roku, oświadczył jej, że ponieważ wychodzi za mąż, kończenie szkoły jest zbyteczne. Laurel odbyła wówczas potajemną rozmowę z przyszłym mężem, ambitnym asystentem Roberta Wainwrighta. Zagroziła, że nie wyjdzie za niego, jeśli jej nie poprze w tym sporze i nie spowoduje, by mogła ukończyć szkołę.

Zupełnie przypadkiem, zaledwie kilka tygodni przed wyznaczoną datą ślubu, co miało nastąpić w pierwszy dzień nowego roku, wpadł jej w ręce ten list. Jego treść skłoniła ją do ucieczki. Kilka miesięcy później przeczytała artykuł, w którym wspomniano o firmie od kilku pokoleń znajdującej się w rękach jej rodziny. Przedsiębiorstwem zarządzał Robert Wainwright, rzekomo w imieniu swojej żony i jej siostry.

Autor artykułu przytaczał pogłoski o rysujących się perspektywach połączenia rodzinnej spółki ze znacznie większym konkurentem. Im bardziej wnikliwie Laurel wczytywała się w tekst, tym mniej jej się to wszystko podobało.

Jak dziwnie było spojrzeć po raz pierwszy z zewnątrz i poznać prawdę o swoim życiu: Nagle znalazła odpowiedzi na wiele pytań, które przedtem wydawały się nie do rozwiązania.

Wiedziała od dawna, że małżeństwo jej adopcyjnej matki nie układało się szczęśliwie. Nic dziwnego, skoro matka nie zawsze mogła się choćby odezwać we własnym domu. Ponieważ jednak to jej mąż zapewniał rodzinie bezpieczeństwo finansowe i kierował spółką, znalazła się w pułapce.

Co do samej Laurel, wiedziała już, że dla Roberta zatruwające ją środki uspokajające stanowiły długoterminową polisę ubezpieczeniową. Miał w ten sposób pewność, że po śmierci swej biologicznej matki Laurel potulnie podpisze dokumenty, przekazując mu co najmniej prawo zarządzania jej częścią majątku.

By zweryfikować swoje przypuszczenia, Laurel potrzebowała bezstronnego źródła informacji. Odwiedziła kawiarnię internetową i znalazła w sieci dane potwierdzające wszystko, o czym dowiedziała się z listu. Robert zawsze udawał, że firma należy do niego, podczas gdy tylko nią kierował. Teraz wyglądało na to, że znalazł sposób, by ją

sprzedać, a pieniądze przywłaszczyć. Wystarczy skłonić Laurel do złożenia podpisu.

Matka opisała również w liście, jak pod naciskiem rodziny została zmuszona do oddania swego nieślubnego dziecka Robertowi i jego żonie. Plan Roberta mogła również zrujnować zawarta w liście informacja, że pani Scott urodziła nie jedno, ale dwoje dzieci.

Gdy Laurel dowiedziała się, że ma siostrę i kiedy poznała ostatnią wolę matki, wiedziała już, jak ważne jest odnalezienie Lauren, zanim Robert również odkryje jej istnienie.

Gdyby Lauren nie wiedziała o swym związku z firmą, nie zdawałaby sobie sprawy ze znaczenia planowanej fuzji. Robert Wainwright miał otrzymać mnóstwo pieniędzy za wydanie jej rodzinnej firmy na łup konkurenta. Jeśli siostra nie dowie się, że jest współwłaścicielką tej fortuny, chciwy kombinator Wainwright sprzeda całą spółkę przedsiębiorcy, który ją zlikwiduje i przejmie zdobyty przez nią segment rynku. Setki wieloletnich pracowników wylądują na bruku, by Robert mógł sobie napchać kieszenie. Laurel nie mogła dopuścić, żeby ten potwór skłonił podstępem jej siostrę do przepisania na niego jej udziałów.

Za wszelką cenę musiała więc ją odnaleźć i poinformować o wszystkim, zanim Robert perfidnie przedstawi jej własną wersję.

Była już bliska celu.

Nie chodziło rzecz jasna tylko o to. Teraz zaledwie kilka kilometrów dzieliło Laurel, tak bardzo samotnej przez całe życie, od siostry bliźniaczki...

Tak blisko, a jednocześnie tak daleko...

Jeśli nikt jej nie uratuje, nie dowie się nigdy, czy ona i siostra mogłyby zostać przyjaciółkami.

Przeczytała już tyle książek o bliźniętach i teraz marzyła o tym, by sprawdzić na sobie ów niemal magiczny fenomen.

Skoro jej „druga połowa” żyje, to czy, zastanawiała się Laurel, wytworzył się między nimi tajemniczy system porozumienia, jaki niekiedy powstaje między bliźniętami.

Zaczęła się bać.

Wiatr wprawdzie ucichł, jednak delikatne płatki śniegu wciąż opadały na przewrócony samochód, przykrywając go coraz grubszą warstwą. Czy tak będzie przez całą noc? Gdyby nawet ktoś jej szukał, czy zdoła dostrzec przysypany śniegiem pojazd?

Przed kilkoma dniami wspomniała o planowanym świątecznym wyjeździe sąsiadce, z udawanym entuzjazmem opowiedziała jej nawet o urokach Cumbrii. W tej sytuacji jej nieobecność nie zdziwi owej sąsiadki, najwcześniej zaniepokoi się dopiero w pierwszych dniach stycznia...

Także ten ktoś w dużym czarnym samochodzie, jeśli nawet ją śledził, musiał ją zgubić na długo przedtem, zanim w zasięgu wzroku pojawił się pierwszy drogowskaz z napisem Edenthwaite.

Tak naprawdę, na całym świecie nie było więc nikogo, kto wiedziałby, dokąd Laurel jechała... A ona, jakby tego było mało, by zmylić pogoń, opuściła autostradę.

Gdy westchnęła, znów poczuła ból w karku, który tym razem nie ustąpił, tylko zaczął się gwałtownie rozprzestrzeniać.

Z przerażeniem poczuła, że brzuch bardzo stwardniał.

- Nie! Nie teraz! - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Początek skurczów porodowych? Nie, to zbyt straszne. Musi się uspokoić. Skoncentrowała się na oddychaniu, usiłowała powoli, w regularnych odstępach wciągać i wypuszczać powietrze.

- Rozluźnij się - nakazała sobie.

Zmusiła się, by nie myśleć o niebezpieczeństwie i uspokoić umysł. Gdyby tylko umiała się wyłączyć tak jak

Dmitri! Gdy tylko miał wolną chwilę podczas dyżuru, natychmiast zasypiał na kilka minut, dzięki czemu błyskawicznie się regenerował po zazwyczaj stresujących i wyczerpujących zajęciach.

Pamiętała, jak po raz pierwszy zastała go, gdy wyciągnął się na fotelu z rękoma skrzyżowanymi na piersi i niewygodnie pochyloną głową.

Miała go wezwać, lecz w tej sytuacji nie wiedziała, co zrobić. Nie chciała go budzić, gdy zasnął po szczególnie ciężkiej serii zabiegów. Teraz chodziło o kolejny przypadek. Nie miała wyboru.

Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, ale zawahała się. Mogła pogłodzić jego twarz, tak jak lubił, albo potrząsnąć za ramię, tak jak powinna.

Stała nachylona nad nim, gdy otworzył oczy.

Oszołomiona zachwytem, jaki malował się w jego oczach, nawet nie drgnęła, gdy wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał jej włosy.

Wstrząs, jaki odczuła, wyrwał ją z odrętwienia.

- Dmitri, właśnie wiozą następnego pacjenta - zdołała wykrztusić.

Zamrugął i zadał rzeczowo pytanie:

- Co tym razem mamy?

- Infekcja dróg oddechowych. Przekazali go do nas z jakiegoś szpitala w Cumbrii. Nie wiedzieli, czy sobie z tym poradzą - wyjaśniła, patrząc, jak Dmitri poprawia ubranie.

Nieświadomy jej zafascynowanego spojrzenia, wygładził koszulę i ściągnął rozluźniony węzeł krawata. Zapomniał tylko o przyczesaniu zmierzwionych włosów, które nadawały mu wygląd urwisa.

- W jakim jest wieku? Co już ustalili? Wiedzą, jaki to wirus? - dopytywał się trzeźwo, jakby w ogóle nie spał.

Włożył marynarkę i ruszył długim krokiem w kierunku oddziału. Laurel musiała niemal biec, by za nim nadążyć, i szybko przekazywała mu informacje. Poruszył ramionami, żeby marynarka lepiej się ułożyła, potem przypomniał sobie o włosach i przeczesał je palcami.

- Adam Kersley - odczytał z karty. - Dziesięć dni od porodu w trzydziestym piątym tygodniu ciąży.

- Już od dwóch dni trochę posapywał - poinformowała zdenerwowana matka niemowlęcia. - Myśleliśmy, że się tylko trochę przeziębził, ale oddychał coraz gorzej, aż... - Rozpłakała się.

- Pani Kersley.: - Dmitri wymówił nowe dla niego nazwisko z pewnym wysiłkiem. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by Adam wyzdrowiał, ale pani musi coś zrobić dla mnie.

- Wszystko! - wykrzyknęła, a Laurel dostrzegła, że Dmitri leciutko się uśmiechnął.

- Trzymam panią za słowo - oświadczył poważnie. - Chciałbym, żeby poszła pani z mężem do bufetu i zamówiła...

- Nie! Chcemy zostać tutaj z...

- Przyrzekła mi pani - przypomniał Dmitri, unosząc ostrzegawczo palec. - Musimy teraz pobrać próbki do analizy, natomiast pani powinna zjeść porządny posiłek i wypić co najmniej dwie szklanki jakiegoś soku owocowego.

- Ale...

- Jest pani jeszcze osłabiona po porodzie, a minie kilka dni, zanim się upewnimy, że z synem wszystko jest w porządku. Musi pani dbać o swoje siły i zdrowie, żeby się nim właściwie opiekować, a nie będzie to możliwe, jeśli przestanie się pani prawidłowo odżywiać.

Państwo Kersley nie wyglądali na przekonanych, po chwili jednak skinęli głowami. Słowa lekarza w końcu do nich dotarły.

- Spotkamy się tutaj za dwie godziny - zaproponował Dmitri. Gdy pani Kersley otworzyła usta, żeby zaprotestować, ponownie uniósł palec, przypominając jej o złożonej obietnicy.

- No to do roboty - zakomenderował, gdy za rodzicami pacjenta zamknęły się drzwi. - Wydzielina z nosa, krew do badania serologicznego, z heparyną do wyizolowania wirusa. Zanieś te próbki jak najszybciej do laboratorium.

- Po badaniu okaże się, co mu jest? - zapytała Laurel, przygotowując się do pobrania próbek.

- Już teraz jestem niemal pewny - odparł.

Ośluchał uważnie maleńkie płuca i twarz ściągnął mu niepokój.

- Tak, to chyba RSV, wirus dróg oddechowych. Na dźwięk słowa „wirus” Laurel zabiło mocniej serce.

- Jest bardzo źle? On nie umrze, prawda?

Nie pracowała jeszcze na tyle długo, by choć trochę przyzwyczać się do tego, co nieuniknione: niektórzy mali pacjenci odchodzą. Nie wyobrażała sobie, jak w ogóle można do tego przywyknąć.

- Normalne dziecko, a przy tym trochę starsze, bez żadnego leczenia samo by wyzdrowiało w ciągu dziesięciu dni.

- A wcześniak?

- Musimy mu pomóc rybawiryną. Laurel знаła tę nazwę.

- Żeby zwalczyła wirusa, prawda?

- Właśnie. Powstrzymuje jego rozmnażanie. W ten sposób, zanim płuca zostaną zajęte, organizm sam go zwalczy.

- Jak długo to potrwa? Już teraz ten mały oddycha z trudnością.

- Do tego, ponieważ jest wcześniakiem, płuca to jedna z najsłabszych części jego organizmu.

- Ale rybawiryną mu pomoże, prawda?

- Jak większość leków, ma również działanie uboczne - zauważył Dmitri. - Może niszczyć czerwone ciała krwi i doprowadzić do anemii. Przy tak słabym organizmie...

Malec zakrztusił się, jakby chciał kaszlnąć. Brakowało mu powietrza.

- Musi też dostać tlen - mruknął Dmitri.

Laurel w milczeniu podała mu malutką maskę, po którą zdążyła już sięgnąć. Ucieszyła się, że przewidziała tę czynność.

Na szczęście tlen pomógł i podłączenie dziecka do respiratora nie okazało się konieczne.

Na drugim końcu sali zapiszczał ostrzegawczo monitor.

- Zaraz wracam - mruknął Dmitri i poszedł w tamtym kierunku.

- Biedny Kai - szepnęła Laurel.

Nawet ze swego miejsca dostrzegła, że maleńkie ciało zwinęło się w konwulsji. Chłopczyk przeżywał ciężkie chwile. Jego matka niedawno odstawiła heroinę i brała metadon aż do chwili, gdy trafiła na porodówkę. Dziecko narkomanki będzie miało w przyszłości kłopoty rozwojowe. Jak na ironię, gdyby jego matka nadal brała heroinę, Kai miałby już za sobą najgorsze. Zwykle trzy, cztery dni podawania luminalu lub innego środka wystarczały do oczyszczenia organizmu z tego narkotyku.

Luminal nie likwidował jednak głodu, w przeciwieństwie do metadonu. Cierpienia dziecka rozpoczęły się dopiero po kilku dniach od urodzenia i mogły trwać przez sześć tygodni. Długotrwałe skutki uzależnienia mogą ujawnić się dopiero po kilku latach w centralnym systemie nerwowym.

- Nawet po domięśniowym zastrzyku valium ma sztywne mięśnie - rzucił gniewnie Dmitri, gdy wrócił do łóżeczka Adama.

Laurel spotkała się z Dmitrim dopiero po kilku godzinach, gdy rozpoczynała przerwę.

- Herbata? - zapytała.

Włączyła elektryczny dzbanek i umyła dwie filiżanki. Dostrzegając ściągniętą gniewem twarz Dmitriego, nie była pewna, czy w ogóle powinna się odzywać. Jej propozycja wyrwała go z ponurych rozmyślań.

- Prastitie?

Zaskoczyła go. Zagłębiając się w myślach nie zauważył nawet, że weszła do pokoju.

- Napijesz się herbaty? - powtórzyła niepewnie. Zastanawiała się, czy zapytać, co się stało, gdy nagle sam się odezwał.

- Nie rozumiem! - wykrzyknął, unosząc w górę ramiona, i tylko cudem nie wytrącił jej z rąk filiżanek. - Przepraszam, Laurel. - Zerwał się na nogi. - Oparzyłaś się?

- Nie, nie wylałam ani kropli - odparła z niepewnym uśmiechem.

Podawała mu filiżankę.

- Czego nie rozumiesz? - zapytała.

- Jak matka Kaia mogła brać narkotyki, wiedząc, że są niebezpieczne dla jej dziecka? Wzięła porządną dawkę nawet przed udaniem się do szpitala, gdy zaczynał się poród.

- Opowiedziała mi, że jest na twardych narkotykach, odkąd ukończyła piętnaście lat - wyjaśniła Lauren. - Nie mogła przestać.

- Nawet gdy groziło to śmiercią?

- Skoro jest silnie uzależniona, pewnie o tym nie pomyślała. Udało się jej przejść z heroiny na metadon. Prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, że dla dziecka to jeszcze gorzej.

Dmitri spojrzał na nią tak, że zaczęła się zastanawiać, czy za jego oburzeniem nie kryje się coś osobistego. Czy miał powody, żeby odczuwać szczególną niechęć do narkomanów?

Lauren, z uwagi na własne uzależnienie, traktowała ich ze zrozumieniem. Gdyby przyznała się Dmitriemu...

- To takie marnotrawstwo! - wybuchnął. - Marnowanie życia i marnowanie pieniędzy, zresztą zwykle kradzionych. Wszystko po to, żeby tylko uciec od rzeczywistości. - Gwałtownie gestykulował, nie zwracając uwagi, że rozchlapuje herbatę. - Mówisz tak, jakbyś czuła sympatię do matki Kaia, a przecież ciężkie życie nie jest usprawiedliwieniem. Babcia Anuszka też miała trudne życie, mimo to nie piła alkoholu, nie paliła i nie brała narkotyków. No i nigdy niczego nie ukradła. A przecież przydałby się jej każdy grosz, na żywność i opał, zwłaszcza wtedy, gdy wzięła mnie do siebie.

Laurel milczała, zmieszana tak ostrą reprimendą. Po chwili Dmitri westchnął.

- Przepraszam, Laurel, zachowałem się nieuprzejmie. Ja tak dlatego... Powiedziała, że kocha Kaia, a nie mogła zrobić dla niego tej jednej rzeczy, zanim się urodził. Skoro postąpiła tak w ciąży, jak będzie się zachowywać później, kiedy dziecko znajdzie się pod jej opieką? Nie będzie go karmić, tylko zaspokajać swoje zachcianki? Nie, nie rozumiem takiego postępowania.

- Bo nie byłeś od niczego uzależniony - zauważyła cicho.

Wpatrywała się w filiżankę, przypominając sobie własną walkę o wyrwanie się ze szponów nałogu. Potrafiła współczuć tej dziewczynie, gdyż nadal wstydziła się własnego uzależnienia, choć wiedziała, że nie ponosi za nie żadnej winy.

Dmitri jest tak silny, myślała, fizycznie i psychicznie, dlatego nie rozumie cudzych słabości. Chociaż...

Nagle podjęła decyzję. Powie mu. Jest już teraz inną osobą, lecz stała się nią właśnie dlatego, że przeżyła to, co przeżyła.

- Dmitri, przez wiele lat brałam środki uspokajające i antydepresyjne - wyznała cichym głosem.

Bała się na niego spojrzeć. Mógł ją tylko potępić. Powinna się jednak domyślić, że lata praktyki lekarskiej nauczyły go panowania nad emocjami.

- Teraz już nie bierzesz?

Zabrzmiało to nie jak pytanie, lecz krzepiąco, jak potwierdzenie jego wiary w Laurel. Ogarnęło ją ciepło, uspokoiła się.

- Nie - potwierdziła. - Ale, Dmitri, byłam poważnie uzależniona. Trwało niemal dwa lata, zanim się od tego uwolniłam.

- Masz szczęście. Niektórym ludziom nigdy się to nie udaje. Korzystałaś z pomocy specjalistów?

- Nie, nikt mi nie pomagał. Było wręcz przeciwnie, bo ojciec sprawdzał, czy biorę te leki. Stopniowo zmniejszałam dawki, a resztę wyrzucałam do ubikacji. Potem zaczęłam pracować w hospicjum dla dzieci i ojcu było trudniej mnie kontrolować. Kiedy zyskałam pewność, że już ich nie potrzebuję, złożyłam podanie o przyjęcie do szkoły pielęgniarstwa.

- To cudowne! - wykrzyknął z zachwytem. - Mieć tak silną wolę, żeby przejść przez... - Przerwał, szukając właściwego określenia. - Przez objawy odstawienia narkotyku - zakończył triumfalnie. - Ciężko było?

- Tak, bardzo. Ale na pewno łatwiej niż Kaiowi, bo on niczego nie rozumie, tylko cierpi, i pewnie łatwiej niż jego matce, która chciała z tym zerwać.

Zamrugnął, gdyż zorientował się, do czego Laurel zmierza. Potem uśmiechnął się krzywo i skinął głową.

- Dobrze, poddaję się - przyznał, ciężko wzdychając. - Nie powinno się podchodzić do tak skomplikowanego problemu w kategoriach czarne - białe. Niestety reaguję zbyt impulsywnie, ale do pasji doprowadza mnie sytuacja, kiedy wiem, co jest właściwe dla ludzi, a oni to ignorują. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi dobro dzieci.

- Rozumiem - mruknęła.

Uradowała ją wielkoduszność Dmitriego. Wzniósł się ponad własne uprzedzenia i przyznał jej rację. Stać na to niewielu lekarzy, bo zwykle są przekonani o własnej nieomyślności.

- No cóż, dla Kaia i tak jest już za późno. Możemy tylko mieć nadzieję, że jego matka przejrzy na oczy i się zmieni - zakończyła rozmowę Laurel.

Następnego dnia, gdy opuszczała pokój pielęgniarek, podeszła do niej matka Kaia, wychudła młoda kobieta o wyglądzie nastolatki.

- Ten lekarz cudzoziemiec mnie przestraszył - poskarżyła się. - Nie wiedziałam, że z Kaiem jest tak źle ani że nie możecie go całkowicie uwolnić od bólu.

W niebieskich oczach błysnęły łzy. Laurel otoczyła ręką jej chude ramiona i zaprowadziła ją do najbliższego pokoju przeznaczanego do rozmów z rodzinami. Ponieważ w tych czterech ścianach zazwyczaj omawiano bolesne sprawy, zawsze stało tam pudełko papierowych chusteczek.

- Napijesz się herbaty albo kawy? - zapytała Lauren, gdy młoda kobieta otarła łzy.

- Tak... Nie. Właściwie to chciałabym wiedzieć... Czy gdzieś w okolicy jest ośrodek odwykowy?

- Chcesz się tylko dowiedzieć, czy mam ci załatwić tam miejsce? - zapytała Laurel. Postanowiła kuć żelazo póki gorące.

- Niech pani załatwi - poprosiła zdecydowanie, choć trochę drżącym głosem. - Na pewno na to nie wygląda po tym, co mu zrobiłam tym metadonem, ale kocham moje dziecko. Nie dopuszczę do tego, żeby zabrali go ci z opieki społecznej.

- Jak pójdiesz na odwyk, poprawisz swoją pozycję w ich oczach, ale jeśli nie wytrzymasz... Żeby odwyk okazał się skuteczny, musisz uwierzyć w siebie. Silna motywacja jest najważniejsza - powiedziała Laurel, pamiętając o własnych doświadczeniach. - Nikt nie zrobi tego za ciebie, choć otrzymasz wszelką pomoc. Ale to tylko pomoc. Wszystko zależy od tego, jak sobie to poukładasz w głowie i czy będziesz dostatecznie zdeterminowana.

- Tak, wiem, że to niełatwe. Tyle lat ćpania, tyle lat życia z dnia na dzień, i nagle trzeba wszystko zmienić. Postaram się jednak, dla Kaia.

- Na pewno jest o co walczyć - utwierdzała ją Laurel. - Sama zaczniesz kierować swoim życiem. Nie będziesz już niewolnikiem dragów, prochów i jak tam to się zwie.

- Co powinnam teraz zrobić? Chciałabym zacząć jak najszybciej, zmarnowałam już wystarczająco dużo życia.

Laurel przyrzekła, że o wszystko się dowie i natychmiast poinformuje; co udało się jej załatwić. Pomyślała o własnym życiu. Pozbyła się nałogu i może teraz pomagać innym. Co jeszcze osiągnie?

- Może to, że nie będę musiała wiecznie się ukrywać - szepnęła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Minał rok, rozważała ze zniechęceniem, a nadal muszę się obawiać Roberta Wainwrighta.

Przynajmniej matka Kaia podjęła leczenie odwykowe. Nadal wprawdzie groziło jej odebranie dziecka, ale dzięki niemu zyskała potężny bodziec, by wytrwać. Potem będzie mogła wreszcie uporządkować swoje sprawy i zacząć naprawdę żyć.

Pomyślała z goryczą, że w obliczu ostatnich wydarzeń ta młoda kobieta zrealizuje swój cel wcześniej niż ona. Laurel, gdy tylko osiągała jakiś postęp, natychmiast natrafiała na nowe przeszkody. Na szczęście nie musiała się w tej chwili martwić o dziecko. Jako pielęgniarka doskonale wiedziała, że w brzuchu ciężarnej temperatura jest stała i płodowi nic nie zagraża. Matka musiałaby stracić znacznie więcej ciepła, żeby zaczęło to mieć znaczenie. Poza tym ostatni skurcz nie oznaczał, że zaczyna się poród, a jedynie go zapowiadał. Laurel wolała nawet nie myśleć o tym, że musiałaby rodzić, zanim ktoś ją tu odnajdzie.

Nagle, bez ostrzeżenia, zaczęły jej odchodzić wody. A więc jednak poród się rozpoczął. Ogarnęło ją przerażenie.

- Dobry Boże, przyślij tu kogoś na pomoc - łkała. Następny skurcz niemal pozbawił ją tchu. - Kogokolwiek... choćby Roberta Wainwrighta.

Nawet w tej dramatycznej sytuacji drgnęła na myśl, jak Robert potraktowałby jej nieślubne dziecko. Skoro jednak alternatywę stanowi śmierć...

Gdyby Wainwright ją teraz odnalazł, nie poznałaby nigdy swojej siostry. Niewinne niemowlę stałoby się kolejnym zakładnikiem. Laurel musiałaby się w tej sytuacji godzić na wszystko, podpisać każdy dokument, milczeć, nie zdradzić nigdy nikomu, że nie miała prawa złożyć tego podpisu.

Jedyna szansa to jakiś kierowca, pasterz owiec - ktokolwiek, kto pomógłby jej później skontaktować się z siostrą.

Gdy poczuła kolejny skurcz, krzyknęła ze strachu. Liczyła na to, że pierwszy poród przebiega na ogół wolniej. Teraz jednak, gdy skurcze następowały tak szybko po sobie, stało się jasne, że ona i jej dziecko znajdują się w krytycznym położeniu.

- Lauren! - wrzasnęła, gdy ból stał się nie do zniesienia. - Proszę, pomóż mi, Lauren, tak bardzo cię teraz potrzebuję - jęczała bezradnie, gdy wody odeszły. - Dmitri... - szepnęła bezradnie.

I nagle pomyślała, że ojciec powinien być przy narodzinach swojego dziecka...

Dmitri nie pamiętał, kiedy czuł się tak bezsilny i bezradny. Nawet gdy jego matkę zabierano do szpitala, wiedział, że może liczyć na babcię Anuszkę. Mógł się spodziewać, że ona o niego zadba, poprowadzi go, będzie go kochać.

Cios, jaki odczuł, gdy po raz pierwszy wzięła go za ojca, nie zdając sobie sprawy z istnienia samego Dmitriego, spadł na już dorosłego, zahartowanego mężczyznę.

Hart ducha zupełnie go jednak opuścił wobec niepewności co do losu Laurel.

Przed oczami stanęły mu wirujące w świetle reflektorów płatki śniegu, gdy zmierzał do Edenthwaite. Był pewien, że Laurel nie miała żadnego doświadczenia w prowadzeniu samochodu w śnieżycy, jako że niewielu Anglików poznało srogość prawdziwej zimy.

Mogła też zjechać z drogi, żeby przenocować. Nie miał sposobu, by się o tym przekonać. Jeśli znalazła schronienie w jakimś gospodarstwie, które dysponowało jednym czy dwoma pokojami do wynajęcia, właściciel pewnie nie umieścił przy drodze stosownej informacji.

A jeśli nie ogrzewa się teraz przy płonącym na kominku ogniu? Jeśli zabłądziła w zamieci śnieżnej? Jeśli wpadła w poślizg?

- Co się stało, Lauren? - zapytał nagle Marc, przerywając ponure rozmyślenia Dmitriego.

Dmitri uniósł głowę. Lauren gwałtownie zbladła. Widział jej białą jak kreda twarz. Natychmiast wstał, żeby udzielić jej pomocy.

- Nie wiem co się dzieje, ale... czy słyszałeś jakiś dźwięk?
- Rozejrzała się nerwowo.

- Jaki dźwięk? - Marc przyklęknął przy jej fotelu i wziął ją za rękę. - Wiatr zelżał, choć śnieg jeszcze pada. Ten dźwięk dochodził zza okna?

- Nie, nie tak. To głos. - Zwróciła się do Dmitriego:

- Czy pan coś słyszał? Jakby ktoś wołał?

- Kto? Co wołał?

Wieloletnia praktyka nauczyła go, że zamiast zaprzeczyć, lepiej jest uzyskać więcej informacji. Wiedział z doświadczenia, że spieranie się z rodzicami dziecka, którego życie zawisło na włosku, jest stratą czasu i energii. A Lauren musiała niedawno przejść wielki stres.

- Głos kobiety - odparła.

Jej spojrzenie świadczyło, że usiłuje sobie przypomnieć to rzekome wołanie.

- Poznała pani głos? To ktoś znajomy?

- Nie... nie jestem pewna. - Pokręciła głową i zacisnęła powieki. - Ale nie wiem. Ona... wołała mnie po imieniu. - Nagle otworzyła szeroko oczy. - To Laurel! - wyszeptała. - Jestem tego pewna!

Dmitriego przeszedł zimny dreszcz.

- Lauren... - zaczął z powątpiewaniem Marc, jednak go nie słuchała. Zerwała się na nogi i ruszyła w kierunku drzwi, chwytając po drodze płaszcz.

- Ona jest w niebezpieczeństwie. Potrzebuje pomocy. Muszę ją znaleźć - powiedziała, wychodząc na korytarz.

Dmitri rzucił się za nią. Nie miał pojęcia, czy przeczucie Lauren ma jakieś podstawy, czy wywołała je tylko obawa o siostrę. Wiedział jedno: miał już dość czekania i rozmyślań.

Gdy brnął przez śnieg pokrywający szpitalny parking, czuł na policzkach szczypanie mrozu. Dobrze, że zapamiętał, gdzie zaparkował, gdyż wszystkie auta wyglądały pod śniegiem jednakowo.

- Jak zorganizujemy poszukiwania? - krzyknął Marc znad dachu swego samochodu z napędem na cztery koła. Lauren zajęła już w nim miejsce i niecierpliwie zapinała pas. - Może pojedziemy w obydwu kierunkach, żeby sprawdzić wszystkie możliwości?

Dmitri uśmiechnął się. Słowa Marca zdradzały, że służył w wojsku. Pamiętał, że jego ojciec także wszystko drobiazgowo planował, nawet coś tak prostego jak wyprawa po zakupy.

- Doskonale - zgodził się, szczęśliwy, że może wreszcie działać. - Macie telefon? Powinniśmy się stale ze sobą kontaktować.

Wymienili numery i wyruszyli.

Godzinę później po początkowym entuzjazmie nie pozostało zupełnie nic. Nawet jeśli Laurel rzeczywiście zboczyła z szosy, śnieg przysypał wszelkie ślady.

Na początku Dmitri badał każdą boczną drogę. Bał się, że jeśli którąś przegapi, właśnie ona okaże się tą właściwą. Potem przypomniał sobie, że Laurel również nie znała okolicy i przy pogarszającej się pogodzie raczej nie wybrałaby nieoznakowanej drogi gruntowej.

Mimo to nadal pokonywał odległość do autostrady w powolnym tempie. Zatrzymywał wóz, wysiadał i przyglądał

się każdej pokrytej śniegiem kępie krzewów czy skale, która mogła choć trochę przypominać samochód.

- Pożałujsta, niech będzie bezpieczna - powtarzał, wracając do samochodu.

Gniew już zupełnie go opuścił. Cóż z tego, że Laurel pozostawiła go bez słowa? Najważniejsze, żeby nie przytrafiło się jej nic złego.

Zadzwoił telefon.

- Halo? Znaleźliście ją? - zapytał, gdy tylko usłyszał głos Lauren.

- Ani śladu. A co u pana?

- Także nic... Gdzie teraz jesteście? Zerknął na mapę i określił swoje położenie.

- Marc proponuje, żebyśmy się spotkali i ustalili, co już zostało przeszukane, żeby nie tracić czasu na powtórne sprawdzanie tych samych odcinków. Niech pan zostanie tam, gdzie jest. Dotrzemy do pana za jakieś pięć minut.

Czekając na Lauren i Marca, rozglądał się po okolicy. Śnieg padał coraz słabiej. Mimo chmur, jak na wieczorną porę było dość jasno. Tutaj, wysoko nad Edenthwaite, poza szumem wiatru nie było słychać żadnych odgłosów. Nawet w świetle dnia trudno tu dostrzec cokolwiek poza połaciami trawy, która porasta cienką warstwę ziemi przerywaną skalistymi wzniesieniami gruntu.

Poza trawą rosły tylko karłowate drzewa, wykrzywione porywistymi wichrami. O tej porze roku krajobrazu nie urozmaicały nawet stadka owiec.

Na samą myśl o utknięciu na tym pustkowiu Dmitriemu zrobiło się nieprzyjemnie. Coraz bardziej niepokoił się o Laurel.

Laurel przekręciła się z wysiłkiem, by stworzyć dziecku choć cień szansy na przeżycie. Nadal obawiała się, że samochód runie w otchłań, zdołała jednak oprzeć ramię o

zagłówek siedzenia i zaczepić stopę o drugi. Nie wiedziała, jak długo wytrzyma w tej pozycji; teraz jednak mogła przynajmniej sięgnąć i podtrzymać rodzące się dziecko.

Nie chciała się nawet zastanawiać, czy ból pozwoli jej przeprowadzić tak skomplikowaną operację. Wolała nie myśleć, co zrobi w razie jakichkolwiek powikłań.

- Opanować się, pomyśleć o czymś przyjemnym - powtarzała miarowo.

Szyby pokrywał śnieg, co potęgowało poczucie uwięzienia. A jedyna przyjemna myśl... to Dmitri. Tak bardzo pragnęła, by teraz był przy niej.

Wiedziała oczywiście, że to niemożliwe i mogła jedynie wspominać. Na przykład ich ostatnie spotkanie, tego dnia, gdy zorientowała się, że psy gończe Roberta Wainwrighta ją wytropiły.

Do końca życia będzie żałować, że nie wyjaśniła Dmitriemu, dlaczego wyjeżdża. Wcale nie zamierzała tak postąpić, nie chciała, żeby tak to wyszło. Odwiedziła go nawet specjalnie po to, żeby powiadomić go o wszystkim.

- Laurel - wydusił zdławionym głosem, gdy ją ujrzał.

- Dmitri? Źle się czujesz? - Na widok jego zaczerwienionych oczu zapomniała o własnych zmartwieniach. - Czy coś się stało? Coś z twoją babcią?

Milcząc, otworzył szerzej drzwi, żeby ją wpuścić.

- Och, Dmitri. - Otoczyła go ramieniem tak naturalnie, jakby robiła to od lat. Cóż teraz znaczą jej troski wobec jego zmartwienia? - Nie wiedziałam, że jest aż tak chora. Boże, czyżby... zmarła?

- Nie.

Opadł na fotel. Chwycił jej dłoń i ścisnął mocno, jakby to jedno utrzymywało go nad otchłanią. Przysiadła na poręczu.

Wdźniała jego głowę. Ze wzrokiem wbitym w ich złączone ręce, opowiadał:

- Rozmawiałem z nią przez telefon. Telefonuję co tydzień, ale tym razem...

Pokręcił głową, a na dłoń Laurel łza spłynęła. Laurel nigdy przedtem nie zdawała sobie sprawy, że również mężczyznom zdarza się płakać.

Niepewna, jak się powinna zachować, czekała w milczeniu. Nie wiedziała, że Dmitri jest tak uczuciowy. Czasami zaskakiwał ją przewrotnym humorem, lecz z zasady był opanowany i wyjątkowo uprzejmy, rezerwując emocje dla maleńkich pacjentów.

- Myślała, że rozmawia z moim ojcem - poskarżył się. - Próbowałem jej wytłumaczyć, że on nie żyje, a ja jestem jej wnukiem, ale tylko ją to denerwowało.

- Och, Dmitri.

Wiedziała, że babcia Anuszka jest jego jedyną żyjącą krewną. Jak to jest, gdy traci się kogoś, kogo znało się i kochało przez całe życie?

- To się stało po raz pierwszy - wyjaśnił, unosząc głowę, by spojrzeć na Laurel. - Po raz pierwszy mnie nie poznała, wzięła za kogoś innego.

Oboje wiedzieli, że w chorobie Alzheimera oznaczało to przekroczenie pewnej granicy. Można z tą straszną przypadłością żyć długie lata, ale niknąca pamięć, nie poznawanie najbliższych osób i otoczenia... Chora osoba zapada w swoisty stan nieświadomości, natomiast dla jej rodziny i przyjaciół jest to po stokroć boleśniesz. Patrzą na kogoś, kto staje się kimś innym, i mogą tylko wspominać, kim był dawniej.

Głaskała go po plecach, jak rodziców, których dziecko przegrywa walkę o życie.

- Laurel, tak mi przykro - westchnął, opierając głowę na jej ramieniu. - Zachowuję się samolubnie, jeśli jednak ona odejdzie, zostanę zupełnie sam.

Współczuła mu, zazdroszcząc jednocześnie tych lat, podczas których ktoś go kochał. Oparta policzek na jego skroni i poczuła, że coś się w niej przełamuje. Oto przekonała się, że Dmitri potrzebuje jej tak samo mocno jak ona jego. A przecież musi go opuścić...

- Nie przepraszaaj - szepnęła, z trudem wstrzymując łzy. - Cieszę się, że mogę być przy tobie w takiej chwili.

- Ach, aniel - mruknął. Głaskał jej głowę, patrzył w oczy. - Spasibo... dziękuję, że tu jesteś.

Przyciągnął ją bliżej. Dotknął wargami jej ust. Krótko, lekko.

Odczuła to jak podziękowanie, wyraz wdzięczności... do czasu, gdy spojrzał jej w oczy.

Nagle przyciągnął ją do siebie. Zsunęła się z poręczy, opadła na niego. Oplótł ją ciasno ramionami. Tym razem pocałunek niósł w sobie gorący, dziki żar namiętności. Ten płomień ogarnął ich oboje.

Po kilku godzinach Laurel obudziła się w łóżku Dmitriego. Ich ciała nadal pozostawały ciasno splecione.

Najpierw pomyślała, że bardzo kocha tego mężczyznę, a potem - jak będzie za nim tęsknić, gdy...

Spojrzała na zegarek. Minęło wiele godzin od chwili, gdy przyszła powiadomić Dmitriego, że odchodzi.

Nie żałowała ani jednej sekundy, jakie tu spędziła. Jak mogłaby, skoro przeżyła dużo więcej, niż była w stanie sobie wyobrazić?

Jednak każda dodatkowa minuta zmniejszała szansę na wymkniecie się z siideł Roberta Wainwrighta.

Dmitri spał tak głęboko, że gdy uwalniała się z jego objęć, poruszył się tylko nieznacznie.

Nie chciała go budzić. Miałaby właśnie teraz mu powiedzieć, że go opuszcza? Nie mogła jednak zniknąć bez słowa pożegnania. Postanowiła napisać krótki list. Nie miała

papieru, więc z kosza na śmieci wyjęła pustą kopertę ofrankowaną rosyjskimi znaczkami.

Chciała przekazać mu tak wiele, lecz nie wiedziała, od czego zacząć. W końcu poprzestała jedynie na tym, co najważniejsze:

Bardzo cię kocham. Będę za tobą tęskniła.

Laurel

Pisząc te słowa, rozplakała się. Jedna z łez spadła i rozmyła literę.

Nie ośmieliła się spojrzeć na Dmitriego. Rozejrzała się tylko za miejscem, w którym powinna położyć list, żeby znalazł go od razu po przebudzeniu.

Nie miała już czasu do stracenia. Musiała jak najszybciej zwiększyć dystans pomiędzy sobą a pogonią.

Łzy utrudniały jej prowadzenie samochodu. Jechała tylko dlatego, że nie miała innego wyjścia. Żeby pokrzyżować perfidne plany Roberta Wainwrighta, musiała odnaleźć siostrę.

Później, jeśli zdoła, może powróci, by się wytłumaczyć... jeśli Dmitri w ogóle raczy jej wysłuchać.

Poszukiwania zajęły jej znacznie więcej czasu, niż przypuszczała. Siostra przed laty opuściła sierociniec i można by rzec, że rozplynęła w powietrzu.

Poczuła kolejny skurcz. Walcząc z bólem, wycodziła przez zaciśnięte zęby:

- Pomóż mi, proszę, pomóż mi.

Jak bardzo temperatura może jeszcze spaść? - zastanawiała się gorączkowo. Już teraz było tak, że pozbawiony ochrony wód płodowych noworodek praktycznie nie miał szans.

Zdołała wygrzebać z torby trochę ubrań. Gdyby udało się jej zdjąć coś z siebie, żeby lepiej go okryć...

Nie, nie da rady. Pozostaje tylko jedno wyjście, choć w wyniku kraksy silnik mógł doznać poważnych uszkodzeń. Sięgnęła do kluczyka i pełna obaw przekręciła go w stacyjce.

Wstrzymała oddech, drżąc na myśl o eksplozji. To, że śnieg mógł zatkać rurę wydechową i skierować spaliny do środka, wydawało się mniej istotne. Mogłaby włączyć silnik na krótko, na tyle tylko, żeby samochód się ogrzał, zanim tlenek węgla osiągnie niebezpieczne stężenie.

Wiedziała, że nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego. Jeśli jednak dziecko, którego matka wisi na pasach w rozbitym samochodzie, przeżyje poród... Laurel nie mogła dopuścić, by zamarzło na śmierć.

Gdyby kupiła w końcu telefon komórkowy, jak planowała... Wezwałaby pomoc od razu po wypadku. Teraz jest już jednak za późno, żeby się tym przejmować.

- Kiedy zaczną się prawdziwe bóle, tak wrzasnę, że usłyszą mnie w Edenthwaite - mruknęła, czując następny skurcz.

Dmitri uchylił okienko, żeby pozbyć się osiadającej na szybach pary. Panującą wokół ciszę zakłócał tylko odległy odgłos pracującego silnika. Spojrzał na zegarek. Za wcześnie na Lauren i Marca. Drogą widocznie przejeżdża ktoś inny.

Dźwięk się jednak nie przybliżał. Dmitri uznał, że musiał się pomylić. Samochód powinien go już minąć. Może to generator wytwarzający prąd w pobliskim gospodarstwie rolnym?

Po chwili do dźwięku tego silnika dołączył drugi, tym razem już na pewno samochodu Marca i Lauren. Gdy się zatrzymali, Dmitri podniósł szybę i wysiadł.

Podszedł do terenowego samochodu i otworzył drzwi. Coś kazało mu się jednak zatrzymać. Z jedną nogą na wysokim progu wyprostował się i rozejrzał dookoła.

Grunt za kamiennymi murkami po obu stronach drogi opadał, bowiem szosę poprowadzono grzbietem wzniesienia. Dmitriego nadal zdumiewał fakt, że ciągnący się kilometrami mur wybudowano przed wiekami, pracowicie znosząc i układając kamienie. Miejscowi rolnicy wywodzą się zapewne w prostej linii od tych oryginalnych budowniczych.

Gdzieś tam pozostały duże odłamy skalne. Dmitri wyobrażał sobie, jak ludzie wznoszący mur bezradnie kręcili głowami, gdy nie mogli ich poruszyć.

Również z miejsca, w którym zatrzymały się oba samochody, rozciągał się widok na taki gład. Ukształtowanie gruntu sprawiło, że nie dojrzał go, siedząc nisko w swym sportowym samochodzie, mimo że akurat w tym miejscu w murku widniała duża wyrwa.

Jak powstała? Może przechodzące przez drogę owce straciły kamienie? Wiatr? Nie, chyba nie.

- Zauważył pan coś? - zawołała Lauren, która wciąż była w aucie.

Obrzucił jeszcze raz spojrzeniem gład w dole zbocza. Ile tysięcy lat może tak leżeć, zanim oddziaływanie warunków atmosferycznych przemieni go w kamyczki, a potem w pył?

- Tylko pokryte śniegiem skały i trawę - westchnął. Wsiadł i zatrzęsął za sobą drzwi.

Pomiędzy przednimi siedzeniami leżała mapa. Dmitri nachylił się, by zbadać przebyty obszar.

- Po prostu nie rozumiem - oświadczył, gdy wreszcie się wyprostował. - Nie ma tu żadnego miejsca na nocleg, a w taką pogodę Laurel na pewno nie zdecydowała się na spanie w samochodzie. A nawet gdyby miała jakąś awarię, wypatrzylibyśmy go na poboczu.

- Czuję, że grozi jej coś więcej niż kłopoty z autem - obwieściła posepnie Lauren i natychmiast się zmitygowała. - Przepraszam, zupełnie bez sensu zabawiam się w jasnowidza.

Dmitri zauważył, że Marc pogłaskał uspokajająco jej dłoń. Poczuł ukłucie zazdrości. Tego właśnie sam pragnął. Porozumienia, które nie wymagało słów. Do tego nękało go poczucie, że to właśnie on, z własnej winy, nie wykorzystał szansy na stworzenie takiej więzi z Laurel.

Tak, na pewno zawiniła jego nadmierna ostrożność, niechęć do ujawniania uczuć. Gdyby ubrał w słowa to, co czuł, może Laurel by nie odeszła?

Tylko że do czego by to doprowadziło? Skończyłoby się tak samo, tyle że to on by wyjechał. Miał w Rosji obowiązki, które były o wiele ważniejsze od jego pragnień, choćby nie wiedzieć jak potężnych.

- Babcia Anuszka mawiała, że serce wie znacznie więcej niż rozum - powiedział do Lauren. - A jeśli chodzi o bliźnięta...

- Trudno jednak przyjąć, że w jakiś sposób komunikuję się z Laurel. Do niedawna nawet nie wiedziałam o jej istnieniu.

- Mimo to pani serce może wiedzieć lepiej. A jeśli nawiązała pani jakąś telepatyczną łączność, niech się pani spróbuje skoncentrować. Może podpowie nam pani, co przegapiliśmy.

- Nie, niczego nie podpowiem. Miałam tylko nieodparte wrażenie, że moja siostra jest w niebezpieczeństwie i bardzo się boi.

- Możemy więc tylko szukać dalej - podsumował Marc i spojrzał na żonę. - Aż do skutku.

Dmitri wysiadł, by wrócić do swego samochodu. Poczuł, że zaszła jakaś zmiana; noc zdawała się jeszcze cichsza niż poprzednio. Nasłuchiwał. Coś tu się nie zgadza. Tylko co?

- Ach tak, to ten generator...

- Jaki generator? Gdzie?

Dmitri poczuł się winny, słysząc w głosie Lauren nadzieję. Nachylił się i wyjaśnił:

- Nieważne. Kiedy na was czekałem, słyszałem silnik generatora. Teraz ktoś go wyłączył. - Wyprostował się. - Powodzenia w poszukiwaniach. Gdybyście coś zauważyli...

Wtem usłyszał, że ktoś usiłuje znów włączyć generator, tym razem jednak bezskutecznie. Po trzeciej próbie znów zapanowała cisza.

- To nie generator! To samochód!

Wskoczył na próg samochodu terenowego i gorączkowo rozglądał się wokół. Nie miał pojęcia, czy nowe odkrycie ma coś wspólnego z Laurel, jednak rozpaczliwie uczeplił się tej myśli.

Z niedowierzaniem stwierdził, że dźwięk musiał dochodzić spod głazu, któremu przedtem się przyglądał. Wtedy usłyszał klakson..

- Samochód! Tam jest samochód! - krzyknął, zeskakując z progu i rzucając się w stronę wyrwy w kamiennym murku.

Biegąc w dół, usłyszał trzaśnięci drzwi, najpierw jednych, potem drugich. Lauren i Marc ruszyli więc za nim, nie to jednak go obchodziło.

Ciszę rozdarła seria długich, rozpaczliwych dźwięków klaksonu, jakby ktoś w przysypanym śniegiem samochodzie dopiero teraz zdał sobie sprawę, że może w ten sposób ocalić sobie życie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ból zdawał się rozrywać Laurel na pół, musiała więc puścić klakson. Zresztą i tak mogła się skupić tylko na nakazach swego ciała.

Ledwie dostrzegła unoszące się nad nią drzwi i sypiący się do środka śnieg.

Zamknęła oczy, skupiła się na kolejnym skurczu. Słabo docierały do niej głosy mężczyzny i kobiety, poczuła ciepłe ręce, które usiłowały jej pomóc.

Przez zaciśnięte powieki dostrzegła światło, na pewno latarki. Wiedziała, że ci ludzie musieli się zorientować, w jakim znaleźli ją położeniu. Nagle poczuła, że jest bezpieczna, że ktoś ją chroni. Pomyślała, że wreszcie może skoncentrować się tylko na rodzeniu, bo ktoś zadba o całą resztę.

Jakaś osoba wpełzła do samochodu i dostała się na tylne siedzenie.

Kobiecy głos szybko przekazał informację o stanie Laurel i o tym, że jest uwięziona w pasach.

Silne ręce chwyciły ją pod ramiona. Druga para rąk czekała, by wziąć ją pod nogi, a tajemnicza kobieta z tylnego siedzenia sięgnęła do zapięcia pasa. Zanim skurcz do końca minął, została wyswobodzona.

- Już dobrze, Laurel, trzymamy cię - usłyszała łagodny głos.

Uniosła wzrok i zobaczyła obcą twarz.

- Dziękuję - zdołała wyszeptać.

Zamknęła na krótko oczy, by złapać oddech. Teraz, kiedy wiedziała, że zajmują się nią jacyś ludzie, uspokoiła się. Nie przeszkadzał jej już ani chłód, ani śnieg, ani to, że rodzi na pustkowiu.

Po chwili jednak ogarnął ją niepokój.

- Kim jesteście i skąd wiecie, jak się nazywam? Ludzie wynajęci przez Roberta Wainwrighta?

- To Marc Fletcher, jest lekarzem - usłyszała głos kobiety. Widziała jej szczupłe ręce podające na zewnątrz jej torbę. - Jest także moim mężem.

- Ale... - Odpowiedź nie rozwiewała wszystkich wątpliwości. Laurel poczuła, że zbliża się następny skurcz, musiała jednak ustalić przynajmniej jedno. - Skąd wiecie, jak się nazywam?

- Bo cię szukamy od paru godzin - odparła kobieta, gdy zeskoczyła na ziemię. Oświetliła sobie latarką twarz. Dziwnie znajomą twarz. - Witaj, Laurel, jestem Lauren - powiedziała dziwnie zmienionym głosem.

Laurel wiedziała, że powinna teraz przeć. Jak jednak mogła się skupić na porodzie, gdy miała przed sobą twarz siostry bliźniaczki?

- Może odłożymy tę prezentację na później - mruknął mężczyzna, który przytrzymał Laurel za ramiona. Gdy usłyszała głos z rosyjskim akcentem, uznała, że to wszystko jest halucynacją.

- Nie! - krzyknęła z rozpaczą.

Skoncentrowała się na tym, by przepchnąć dziecko nieco bliżej ostatecznego celu jego wędrówki. Tak, to logiczne, uznała. Jechała tu, by odnaleźć siostrę, więc nic dziwnego, że ta siostra pojawiła się w majakach. A Dmitri? Jego też tu nie ma. Już dawno wyjechał do Rosji.

Nadal słyszała głosy, jednak starała się je ignorować. Musi zebrać się w sobie i urodzić dziecko. Musi poradzić sobie sama.

- Przynajmniej nieistniejący ludzie nie mogą mnie skrzywdzić - mruknęła, gdy zdołała zaczerpnąć tchu.

Niespodziewanie usłyszała śmiech.

- Ależ my istniejemy - radośnie zaprotestował kobiecy głos. - Laurel, przyrzekam, zabierzemy cię stąd do ładnej, cieplej sali porodowej.

- Uwierzę, kiedy się tam znajdę - odparła, nadal niepewna, czy wyobraźnia nie płata jej figli.

Krzyknęła ze strachu, gdy para silnych ramion uniosła ją w górę.

- Uwierz - usłyszała lekko ochryply głos. Trudno jednak było uwierzyć. Dla niej to proste słowo zabrzmiało w ustach Dmitriego nie tylko kojąco, lecz również uwodzicielsko.

Zanim zdążyła na niego spojrzeć, doznała następnego gwałtownego skurczu.

Świetnie wiedząc, co dzieje się z Laurel, Dmitri na chwilę przerwał wędrówkę w górę zbocza.

- Możesz jeszcze wytrzymać? Tylko do samochodu. Musimy sprawdzić, czy powinnaś już przeć.

- Sam sobie wytrzymaj - warknęła mało uprzejmie, choć zdała sobie sprawę, że Dmitri ma rację. - Chcę urodzić jak najszybciej.

Nie miał pojęcia, jak na nią wpłynąć, by jeszcze trochę się powstrzymała. Gdy jednak skurcz nieco zelżał, znalazła się w części bagażowej z tyłu dużego terenowego samochodu.

- Zostanę tu z nią - oświadczył Dmitri, gdy trzy pary rąk wygodnie ją układały.

- Co z pańskim autem? - zapytała Lauren.

- Nieważne, później po niego wrócę - rzucił niecierpliwie Dmitri. - Ruszajmy wreszcie! Nie ma chwili do stracenia.

Dmitri wiedział, że liczyła się każda minuta. Muszą jak najszybciej dotrzeć do Denison Memorial, bo inaczej dojdzie do tragedii.

Jeszcze nie mógł do końca uwierzyć, że wreszcie odnalazł Laurel. W najdzikszych fantazjach nie spodziewał się, że stanie się to w takich okolicznościach. Tak, to naprawdę Laurel. I właśnie rodzi dziecko.

Czyje dziecko?

Moje?

Daty chyba się zgadzają...

A czy to ma jakieś znaczenie?

Jęknęła, gdy koło samochodu trafiło na nierówność jezdni. Dmitri natychmiast pogładził ją po ręce.

Jego dziecko czy nie jego, wszystko jedno. Laurel potrzebuje pomocy i tylko to się liczy

- Znowu skurcz? - zapytał. - Chcesz, żebyśmy się zatrzymali?

- Jeden następuje po drugim - wyjęczała, rzucając głową na boki.

Zaczerpnęła tchu i zaczęła przeć.

- Jak tam? - zawołał Marc. - Wolałbym zawieźć ją do szpitala, ale gdyby bardzo chciała, żebym się zatrzymał...

- Nie! - krzyknęła, chwytając oddech. - Poród jest przedwczesny. Trzeba do szpitala.

Dmitri nie mógł opanować podniecenia.

Właśnie uzyskał informację, że dziecko urodzi się wcześniej, choć chyba niewiele, o czym świadczył ogromny brzuch Laurel. Czy to oznacza, że zostało poczęte już po tym, gdy go opuściła? Jeśli tak, jeśli choć miesiąc później, dziecko będzie wymagało specjalistycznej opieki na oddziale noworodków. Skoro tak, to może jada w złym kierunku? Może powinni wybrać szpital miejski? Ale czy zdążą tam dotrzeć, zanim Laurel urodzi? Było to mało prawdopodobne.

Doskonale wiedział, jak wiele komplikacji może się wiązać z przedwczesnym porodem. W odpowiednio wyposażonym szpitalu lekarze potrafią dokonywać cudów, byle przychodnia daje wiele możliwości, ale samochód jako sala porodowa dla wcześniaka...

Dmitri poczekał, aż minie skurcz, i zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju:

- Kiedy masz termin?

Zamarł w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Za dwa tygodnie - wydyszała.

Poczuł ulgę, bowiem dziecko było już wystarczająco rozwinięte, by przeżyć w tak niesprzyjających okolicznościach. Na później odłożył rozmyślenia o tym, co odpowiedź Laurel oznacza dla niego osobiście.

Dotarli już na przedmieścia Edenthwaite. Wnętrze samochodu oświetlały teraz latarnie. Dmitri widział jasne włosy rozrzucone wokół głowy Laurel jak aureola.

Nawet w tym marnym oświetleniu dostrzegł cienie pod jej oczami. Także napięcie, które - czuł to - miało swoje źródło nie tylko w walce, jaką Laurel w tej chwili staczała.

Czyje to dziecko? Ta myśl atakowała go, choć próbował się przed nią bronić. Chciał zapytać o to Laurel, nie był to jednak ani dobry czas, ani miejsce. Musiał poczekać, aż będzie po wszystkim. Wtedy porozmawiają bez świadków.

Dzięki telefonowi Lauren pod szpitalem czekał już na nich komitet powitalny.

- Zablokowaliśmy dla was windę - poinformował ktoś Dmitriego, gdy ten umieszczał Laurel w fotelu na kółkach.

- Wezwaliśmy Jacka Lawrence'a - dodał ktoś inny - ale dotrze dopiero za pół godziny.

- Jack jest lekarzem rodzinnym - poinformował Dmitriego Marc - ale przedtem specjalizował się w położnictwie i ginekologii.

Dmitriego nie interesowały szczegóły, dopóki nie dotyczyły bezpośrednio Laurel. Przecież sam może teraz się nią zająć.

Wolałby nie sadzać jej w wózku, lecz zanieść na rękach prosto do sali porodowej. Obowiązujące w szpitalu przepisy nakazywały jednak określone postępowanie.

- Jeśli nie wdadzą się komplikacje, poradzimy sobie bez Jacka - rzucił Marc, gdy Dmitri oddalał się, popychając wózek w kierunku windy.

- Która położna ma dyżur? Katy, Faith, czy Lissa? - dopytywała się Lauren.

- Lissa, ale po twoim telefonie Katy zrezygnowała z pójścia do domu - powiedział ktoś. - Obie wszystko już przygotowały.

Dmitri wcisnął guzik od razu po wtoczeniu fotela do windy. Lauren musiała szybko nacisnąć zewnętrzny, żeby nie zostać w holu.

Nie przeprosił. Nie myślał w tej chwili o grzecznościach, gdyż Laurel na przemian to zaciskała zęby to ciężko chwyciła powietrze. Dmitri chciał tylko dowieźć ją jak najszybciej do sali porodowej.

Na piętrze czekały dwie młode kobiety. Chciały przejąć wózek, jednak Dmitri szorstko je odprawił i ruszył. Na szczęście brzydkie słowo wypowiedział w swym ojczystym języku, pielęgniarki nie obraziły się więc, tylko zostały w miejscu ze zdziwionymi minami.

To samo - choć już bez grubych wyrazów - powtórzyło się, gdy należało zbadać Laurel. Dmitri odsunął się tylko na chwilę, gdy obcy ludzie zdejmowali z niej ubranie. Potem zbadał ją i już nie odstępował. Nie teraz, nie po tak długich poszukiwaniach. A co do dziecka...

Odegnął tę myśl. Stał przy głowie Laurel i skoncentrował się na obserwowaniu pracy dwóch położnych. Zauważył z radością, że wykonywały swe czynności bardzo sprawnie.

- Za chwilę urodzi, nie podłączymy już podglądu płodu - poinformowała jedna z nich, gdy Laurel zeszywniała w kolejnym skurczu.

Dmitri poczuł, że oblewa się zimnym potem. Tak niewiele brakowało do nieszczęścia. Gdyby Laurel nacisnęła klakson chwilę później, odjechałoby, kontynuując poszukiwania gdzie indziej.

- Chce się pan przyjrzeć? - zapytała miłym głosem jedna z położnych.

- Nie jest pan zbyt wrażliwy? - dodała szybko druga. - Jeśli pan zemdleje, nie będziemy miały czasu na podnoszenie pana z podłogi.

- Zdziwicie się - odpowiedział z uśmiechem. - Nie pierwszy raz obserwuję poród, ale to zupełnie co innego, gdy patrzy się na narodziny własnego dziecka.

Własnego dziecka?

Nagle ogarnęła go radość, choć przecież nie wiedział, czy jego słowa odpowiadają prawdzie.

Musi się dowiedzieć. Właśnie w tej przełomowej chwili musi znać prawdę, upewnić się, że to jest naprawdę jego dziecko.

Wpatrywał się w umęczoną twarz Laurel. Czekał, aż minie skurcz.

Mimo że była spocona i wykrzywiona z wysiłku, dla niego nigdy nie wyglądała piękniej. Cały gniew, który odczuwał przez ostatnie miesiące, zmałał i teraz wydawał się czymś... do czego można powrócić kiedy indziej. Nawet kwestia ojcostwa stała się nieważna, gdy asystował przy porodzie.

Laurel otworzyła oczy i spojrzała prosto na niego, jakby zdawała sobie sprawę, że Dmitri na to czeka.

- Och, Dmitri, ty rzeczywiście tu jesteś - szepnęła. Oczy w kolorze miodu wypełniały łzy. - Naprawdę myślałam, że to tylko majaki.

Musiał przełknąć ślinę, żeby odzyskać głos.

- Zawsze miałaś bujną wyobraźnię.

- Jak się czuje sobaka? - spytała.

- Tak chcesz nazwać dziecko? Sobaka? - zapytała jedna z położnych, przypominając im tym samym, gdzie się znajdują.

Mimo to zaśmiali się.

- Niespecjalnie - zdołała odpowiedzieć Laurel, zanim zaczerpnęła powietrza przed kolejnym skurczem.

- Po rosyjsku to znaczy pies - wyjaśnił Dmitri. Laurel chwyciła go za rękę najnaturalniejszym w świecie gestem.

Nie mógł wprost uwierzyć, że znów tak doskonale się rozumieli. Mimo upływu miesięcy, mają te same myśli i wspomnienia, śmieszą ich te same rzeczy. Jakby cały ten czas spędzili razem.

- Sobaka czuje się świetnie - odrzekł z uśmiechem, świadom, że to słowo brzmi dla Laurel egzotycznie. Niemal miała do niego pretensję, że kryje się pod nim tak banalne znaczenie. Wtedy właśnie po raz pierwszy zauważył, że Laurel ma niezwykle bujną wyobraźnię. - Zwłaszcza od kiedy włączył do swego obchodu również oddział dziecięcy.

To Laurel zaproponowała dla oddziału geriatrycznego nowatorski rodzaj terapii. Kontakt ze zwierzęciem bardzo dobrze działał na chorych. Wpadła na ten pomysł, gdy portierzy przygarnęli wałęsającego się psiaka o smutnych oczach.

Dmitri poparł ją w rozmowach z władzami szpitala. W nagrodę otrzymał pierwszy spontaniczny uścisk Laurel. No i wyraźną poprawę nastroju pacjentów, nawet tych z Alzheimerem.

Od tego pozostawał już tylko krótki krok do uzyskania pozwolenia, by łagodny czworonóg odwiedzał także dziecięcy oddział onkologiczny.

- Udało ci się ich przekonać! - zawołała.

Dmitri przypomniał sobie, że władze szpitala wyraziły zgodę dopiero po odejściu Laurel. Na dalsze omawianie tych kwestii zabrakło jednak czasu, gdyż przy skurczu ukazała się główka dziecka.

- Laurel, posłuchaj mnie, teraz nie przyj, muszę się upewnić, czy powinna nie zagraża mu drogi - poleciła położna.

- Ale ja chcę. Chcę już zobaczyć moje dziecko.

- Teraz skoncentruj się na oddychaniu, a zaraz potem je zobaczysz - perswadował Dmitri. - No, dalej, masz dyszeć jak sobaka!

Zachichotała, lecz usłuchała go. Dmitri otoczył ją ramieniem i nieco uniósł, dzięki czemu dojrzała czarne włosy oklejające małą główkę.

- Wszystko w porządku - poinformowała położna. - Możesz teraz przeć, kiedy tylko poczujesz, że masz na to ochotę.

Z zaciśniętymi z emocji rękami Dmitri przypatrywał się, jak pojawiają się kolejno najpierw ramiona dziecka, a potem tułów i nóżki.

- Malczuk - wyszeptał, a po policzkach spłynęły mu łzy. - Chłopiec - powiedział zdławionym głosem.

Widział, że Laurel także płacze. Nagle poczuł, że musi jej wyznać swoją miłość. Czuł to tak mocno, jak pierwszej nocy, jedynej nocy, poprawił się w myślach, kiedy się kochali.

- Chyba mamy mały problem - powiedziała nagle jedna z położnych.

Cokolwiek miał wyznać Laurel, natychmiast o tym zapomniał.

- Jaki problem?! - krzyknął.

Przepełniony obawą spojrzał na małe, różowe ciało. Chłopak darł się tak głośno, że co jak co, ale płuca musiał mieć zdrowe.

- Co się stało? Co mu jest? - dopytywała się Laurel. Z wysiłkiem uniosła się na łokciach, żeby móc lepiej widzieć.

- Nic mu nie jest, zaraz sama się przekonasz - zapewniła ją Katy.

Ciepłym kocykiem owinęła dziecko i podała je Laurel.

- Proszę, mamusiu. Możesz sama policzyć, czy nie brakuje mu paluszków.

Laurel bez reszty pochłonał pierwszy kontakt z niemowlęciem. Dmitri jednak nie ustępował.

- Jaki problem? - Nachylił się do położnej, by mogła odpowiedzieć tak, żeby Laurel nie usłyszała. - Proszę mi powiedzieć. - Zobaczył, że Lissa obejmuje dłońmi brzuch Lauren, jakby... jakby chciała w ten sposób coś mu pokazać na migi.

Zdjęło go przerażenie. Czy łożysko nie oddzieliło się prawidłowo? Czy Laurel krwawi? Wykrwawi się na śmierć?

Zanim zdążył ubrać swe obawy w słowa, Lissa spojrzała na niego z uśmiechem ulgi.

- Dlaczego nikt nas nie uprzedził, że to bliźnięta? - zapytała.

- Bliźnięta? - powtórzył jednocześnie z Laurel. Brakowało czasu na pytania, ponieważ drugie dziecko torowało już sobie drogę na świat.

Dmitri wziął na ręce syna, by Laurel mogła się skoncentrować. Miał za sobą lata praktyki, trzymając jednak własne dziecko, czuł się szczególnie wyróżniony.

Po chwili pojawiła się mała, ciemna główka. Drugie dziecko miało więc takie same włosy jak braciszek. Gdy jednak przyszło wreszcie na świat, okazało się, że między bliźniętami zachodzi duża, wręcz zasadnicza różnica.

- Diewoczka - oznajmił z dumą i zachwytem Dmitri. - Jaka piękna!

Pomimo wcześniejszego o dwa tygodnie porodu, dzieci przyszły na świat zupełnie zdrowe. Po chwili również córkę zawinięto w kocyk, by przedstawić ją mamie.

Tym razem Laurel była już tak wyczerpana, że jedynie dotknęła delikatnego policzka córki, lecz gestem tym wyraziła

całą swą miłość i czułość. Dmitri usiadł koło niej. Biła z niego ojcowska дума.

- Podobają się dzieci tatusiowi? - zapytała z szerokim uśmiechem Katy.

Dmitri spojrzał w oczy Laurel.

- Tatusiowi? - zapytał, wiedząc, że tylko ona zrozumie znaczenie tego pytania.

- Tatusiowi - potwierdziła z nieśmiałym uśmiechem.

Co ja najlepszego zrobiłam? - pomyślała w popłochu Laurel, gdy tylko to słowo wyniknęło jej się z ust.

Na widok radości Dmitriego przestała jednak żałować. Nie mogłaby go okłamać.

To prawda, że nie planowali dzieci, a Dmitri niedługo wróci do Rosji, ale niczego nie żałowała. Musiała mu powiedzieć, że został ojcem.

Była taka zmęczona...

Zbyt zmęczona, by zająć się maleństwami. Ledwie zdołała dotknąć rękawa Dmitriego. Z wysiłkiem pokonała ciężenie powiek i spojrzała w górę. Dmitri coś mówił, chyba do dzieci. Wiedząc, że w chwilach dużych emocji często zapomina angielskich słów, domyślała się, że po rosyjsku.

To dobrze, nauczą się od razu dwóch języków, rozmyślała sennie. Coś związanego z tym faktem nie dawało jej jednak spokoju...

Przecież dzieci zamieszkają w Anglii, tysiące kilometrów od domu ojca. Opuści je, zanim nauczą się mówić. No i opuści ich matkę.

Nie, jest jeszcze coś. Coś ważnego, o co go nie zapytała. Coś... co? Czy zamiast od razu wracać do Rosji, mógłby... Co mógłby?

Zasnęła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dmitri jeszcze raz obrzucił czułym spojrzeniem frapujące małe zawiniątka, które umieścił właśnie na wózku. Potem opuścił salę.

- Co z pana za człowiek? Dlaczego pan nie powiedział, że ona jest w ciąży? - z miejsca zaatakowała Lauren, piorunując go wzrokiem.

Zachował powagę, choć w głębi ducha rozbawiła go ta bezpośredniość. Tajemnicza wieszczka, która w nieprzeniknionym mroku nocy usłyszała głos swej rodzącej siostry, teraz przemieniła się w prawdziwą furię. Szczęśliwie podczas porodu wezwano Lauren na jej oddział, bo gdyby nie to, już wtedy rozpoczęłyby swoje szczegółowe przesłuchanie.

- Gdybyśmy wiedzieli, że siostra może rodzić, zawiadomilibyśmy policję, stację ratownictwa górskiego... och, wszyscy znajomi ruszyliby na poszukiwania. Mogła przecież umrzeć w tym samochodzie, a my...

- Bo sam nie miałem pojęcia - wyjaśnił. - Proszę policzyć. Nie widziałem jej od ponad ośmiu miesięcy, a dzieci urodziły się dwa tygodnie przed terminem. Gdy ostatnio rozmawialiśmy, ona sama nie wiedziała. Nie mogła wiedzieć.

- Skąd więc pan wie, że jest ojcem? - zapytał złośliwie Marc.

- Marc! - obruszyła się Lauren. - Czy sugerujesz, że Laurel jest osobą, która...

- Niczego nie sugeruję. Chcę tylko ustalić, co łączy pana Rostropowicza z twoim siostrzeńcem i siostrzenicą.

Na szczęście Dmitri nie miał żadnych wątpliwości, babcia Anuszka pieczołowicie przechowywała bowiem jego zdjęcia z dzieciństwa. Oglądał je na tyle często, że po prostu widział, iż noworodki, które zostawił przed chwilą w sali, mają jego geny.

- Zgadza się czas porodu, poza tym są podobne do mnie, gdy byłem dzieckiem. No i jest jeszcze jeden niepodważalny dowód - odparł. - Po prostu Laurel mi powiedziała. - Ani Lauren, ani Marc nie znali przecież Laurel. A on tak. Dla niego jej słowo stanowiło świętość. - W przeszłości zmuszano ją do pewnych zachowań, ale jednego by nie zrobiła. Nie skłamałaby w tak ważnej sprawie.

Pamiętając o pacjentach śpiących w sąsiednich salach, starał się panować nad głosem. Nie wywarłby jednak większego wrażenia nawet wtedy, gdyby głośno krzyczał.

- No cóż - zauważyła Lauren, gotowa choćby wbrew rozsądkowi bronić swej siostry. - Cieszę się, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

- Poza tym - dodał Dmitri, uśmiechając się szeroko - wystarczy na nie spojrzeć. Od razu widać, że jestem ich ojcem.

- A możemy? - zapytała natychmiast Lauren, jakby przez cały czas czyhała na taką okazję. Wiedziała, że podczas pierwszej doby do noworodków dopuszczano tylko rodziców. - Przrzekam, że będę bardzo uważać, na pewno ich nie obudzę.

Dmitri oczywiście się zgodził, bo tym samym zyskiwał okazję, by znów zerknąć na dzieci. Musieli tylko uważać na Lisę, bo gdyby położyła ich przyłapała, doszłoby do awantury.

Przyłożył palec do ust i cicho otworzył drzwi. Weszli na palcach. Poza bliźniętami w sali spał jeszcze jeden noworodek. Nie poświęcili mu uwagi, choć miał uroczą buzię.

- Och, Dmitri, miał pan rację - szepnęła Lauren, przenosząc spojrzenie z jednej ciemnej główki na drugą. - Tak pana przypominają, że to aż zabawne.

- Dziękuję.

- Kiedy się obudzą? Uważa pan, że Laurel pozwoli mi nakarmić jedno, gdy sama będzie karmiła drugie?

Roześmiał się cicho.

- Nie sądzę, żeby pani się to udało, chyba że tym razem to pani coś zataiła.

- Jak to?

- Laurel zamierza je karmić piersią.

- Och.

Lauren zaczerwieniła się, co rozbawiło jej męża.

Dmitri pomyślał, że łatwość oblewania się rumieńcem jest u obu sióstr czarująca, choć z pewnością nie podzielały jego entuzjazmu. Laurel bolała nad tą przypadłością, gdyż nieomylnie zdradzała jej uczucia. Wystarczyło, by Dmitri tylko się do niej zbliżył. Czerwone policzki natychmiast głośno mówiły, że nie jest to jej obojętne.

- Doktorze Rostropowicz, co pan tu robi? I pan, panie Fletcher? I jeszcze Lauren! Cała procesja - usłyszeli karcący głos Lissy.

- Trafiony, zatopiony - szepnął, odwracając się, by stawić czoło położnej.

- Nie może pan wytrzymać, prawda? - zapytała z przyganą.

- Pani też nie - zauważył z radosnym uśmiechem, przemykając za Markiem i Lauren koło Lissy. - Proszę przyznać, że pani także zakochała się w moich dzieciach!

- To nie ma nic do rzeczy. Mnie tu wolno przebywać. Panie Fletcher, sam pan wprowadził ten zakaz. To nie jest miejsce, do którego można tak sobie wchodzić i wychodzić.

- Ma pani rację. - Marc ze wszystkich sił starał się zachować powagę. - Proszę jednak jako okoliczność łagodzącą uwzględnić fakt, że jesteśmy lekarzami i równie dobrze mogliśmy tu przyjść, żeby zbadać dzieci.

- Nie, bo żaden z panów nie jest pediatrą. Teraz proszę opuścić salę i nie pokazywać się do jutra. Wie pan, kiedy jest pora odwiedzin.

Odchodząc, wszyscy troje tłumili chichot jak niesforne dzieci.

- Ma pan gdzie przenocować? - zapytał Marc, gdy Lissa bezlitośnie zatrzasnęła za nimi drzwi. - Mógłby pan spać u nas. Rano przyjechalibyśmy tu razem.

- Dziękuję, ale mam już pokój w hotelu - odparł Dmitri.

Nie zamierzał zdradzić, że nigdzie się nie wybiera. Gdy tylko Marc i Lauren znikną za zakrętem korytarza, wróci do Laurel. Nie dlatego, żeby nie dowierzał personelowi Denison Memorial. Po prostu musi wrócić, by jej towarzyszyć. I żeby wreszcie się dowiedzieć, dlaczego osiem miesięcy temu Laurel od niego odeszła.

Na krótko powróciło uczucie rozczarowania i złości, które tak długo towarzyszyło Dmitriemu. Przecież właśnie dlatego, by wyjaśnić, co zaszło między nim a Laurel, wciąż był w Anglii, a nie w Rosji przy babci Anuszcze.

Obrzucił spojrzeniem śpiącą Laurel. Teraz, po urodzeniu dzieci, wydawała się dziwnie szczupła, prawie jak dziecko.

Uśmiechnął się. Stał przy łóżku zupełnie innej kobiety niż ta, którą znał dawniej. Dopiero teraz zrozumiał, że jej piękna twarz skrywała tajemnice, o których istnieniu nie miał nawet pojęcia.

Laurel powoli się budziła. Dotknęła pościeli, by się przekonać, że urodzenie dwójki dzieci nie przytrafiło się jej tylko we śnie.

Bliźnięta!

Mimo że sama też urodziła się w towarzystwie, nie przypuszczała, że nosi w swoim łonie nie jedno, ale dwoje maleństw. Gdyby pozostała dłużej w jednym miejscu i poddawała się badaniom prenatalnym, łatwo by stwierdzono,

że to bliźnięta. Jeżeli na ekranie ukazują się cztery rączki, tyleż nóżek i dwa serca, trudno nie wysnuć takiego wniosku. Ale może lepiej się stało, że nic nie wiedziała, bo dzięki temu otrzymali z Dmitrim cudowny bożonarodzeniowy prezent.

Mikołaj i Anuszką postanowiła. Te rosyjskie imiona wybrała, nie wiedząc jeszcze, czy urodzi chłopca, czy dziewczynkę.

Urodziła piękne dzieci, z ciemnymi włosami po ojcu. Z czasem okaże się, czy odziedziczyły po nim srebrnoszare oczy. Miną lata, zanim wyjaśni się kwestia wzrostu. Laurel będzie jednak obserwować ich rozwój z miłością, jaką jej nie mogli obdarzyć naturalni rodzice.

Ta myśl wprowadziła ją w euforię. Dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę z odmiany, jaka nastąpiła w jej życiu.

Jako dziecko budziła się ze świadomością, że każdy dzień jest podobny do innych, że nie może oczekiwać niczego wesołego. Gdy dorosła, sytuacja się jeszcze pogorszyła. Niezależnie od tego, jak się starała, spotykały ją same przykrości.

Wreszcie znalazła w sobie siły, by pozbyć się jarzma i zacząć samodzielnie budować własne życie.

Aż trudno uwierzyć, jak na początku bardzo była naiwna. Sądziła, że wystarczy uciec, by Robert Wainwright zrezygnował, porzucił swe plany. Nie wystarczyło. Musiała wciąż uciekać, ciągle zmieniać miejsce pobytu.

Wreszcie zmądrzała jednak na tyle, że zmieniła nazwisko, odrzucając pierwszą sylabę. To właśnie jako Laurel Wright poznała Dmitriego. Minęły cztery miesiące, zanim ponownie zobaczyła swego prześladowcę, który wysiadał ze zniechęconego przez nią czarnego samochodu.

Postanowiła natychmiast spakować swój skromny dobytek i wyjechać. Ale nie mogła. Nie mogła pozostawić Dmitriego

bez słowa pożegnania. Zabrakło jej sił, żeby odmówić sobie jednego, ostatniego spotkania.

Potem śniła na jawie, że któregoś dnia znów się spotkają, chociaż dobrze wiedziała, że to tylko marzenia, które się nie spełnią. A jednak, niczym księżę z bajki, Dmitri odnalazł ją i uratował. Stało się to w chwili, gdy najbardziej go potrzebowała.

Decyzja o zjechaniu z autostrady mogła ją kosztować życie, w końcu jednak dramatyczna przygoda znalazła szczęśliwe zakończenie, a Robert Wainwright nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Będzie mogła wypocząć po porodzie i porozmawiać z Lauren. Gdyby Robert Wainwright jednak ją odnalazł, trafiłby też na trop jej siostry. Kto wie, co by wykombinował? Laurel musi jak najszybciej ją ostrzec, by miała się na baczności. Wyjaśnić jej, do czego Wainwright zmierza i z jakich powodów. Co zaś do dzieci...

Przypomniała sobie z przerażeniem godziny spędzone w samochodzie i początek porodu. Gdyby nie to, że tak późno zdecydowała się wykorzystać klakson, może ktoś odnalazłby ją wcześniej. Może nie doszłoby do przedwczesnego porodu?

Wręcz otarła się o nieszczęście.

Gdyby Dmitri nie zatrzymał się akurat w miejscu wypadku albo mniej uważnie obserwował otoczenie...

Dmitri. Sama myśl o nim sprawiała jej radość. Radość ze spotkania, zdumienie, że pojechał za nią do Cumbrii. Jakim cudem potrafił odnaleźć ją nocą na pustkowiu? Dmitri, jej Dmitri...

Jej? Przecież nie wiedziała, jak się teraz zachowa, jakie podejmie decyzje, gdy dowiedział się, że jest ojcem jej dzieci.

Dostrzegła na ścianie cień i zorientowała się, że nie jest sama. Poczowała paniczny strach i cicho krzyknęła.

- Laurel, co się stało? - zapytał niespokojnie Dmitri, podchodząc szybko do łóżka. - Potrzebujesz czegoś?

- Dmitri - szepnęła.

Spodziewała się intruza, człowieka wynajętego przez Roberta Wainwrighta.

- Co... co ty tu robisz?

- Po prostu jestem przy tobie. Nie spodziewałaś się tego?

- Zabrzmiała w tym nuta wymówki.

Przysiadł na krawędzi łóżka.

- Dlaczego zniknęłaś? - zapytał. - Przecież nic się między nami nie zmieniło. Nawet nie wiedziałaś, że zaszłaś w ciążę. Chyba... chyba że wtedy odwiedziłaś mnie tylko po to, żebym ja... - Jak zwykle, pod wpływem emocji zaciął się i musiał szukać odpowiednich angielskich słów. - Po to tylko, żeby mieć dziecko?

- Nie, Dmitri! Nie!

Jak taka myśl w ogóle mogła mu przyjść do głowy? Po raz pierwszy poszli ze sobą do łóżka. Ona zresztą w ogóle nie miała żadnego doświadczenia. Czy nie potrafiła okazać mu, jak wiele dla niej znaczy?

- No to dlaczego?

Chciała mu wyznać, że zakochała się w nim od razu, gdy tylko go poznała, i że marzyła o dniu, w którym wyznają sobie miłość. Chciała, by wiedział, że na myśl o opuszczeniu go pękało jej serce. Dostrzegła jednak w Dmitrim dziwne napięcie, coś, co powstrzymało ją od obnażenia uczuć.

- Nie planowałam tego, Dmitri, przysięgam. Tego dnia odwiedziłam cię, żeby się pożegnać, a także by wyjaśnić, dlaczego muszę opuścić miasto. Otworzyłeś drzwi. Byłeś tak zmartwiony, że przestałam myśleć o swoich problemach.

Pocałował ją wtedy delikatnie, tylko po to, żeby podziękować za troskę, jaką mu okazała. Wbrew jego intencjom oboje odczuli ten pocałunek inaczej. Rozpalił w nich płomień, który do tej pory nie wygasł.

- Potem jednak odeszłaś. Bez słowa, w środku nocy. Dlaczego?

- Bo on mnie znalazł. Tropił mnie, a właściwie wynajęty przez niego człowiek, od chwili gdy opuściłam dom, żeby odnaleźć Lauren. Musiałam wyjechać. Gdybym nie zatarła za sobą śladów, zabrałby mnie z powrotem do mojego... do Roberta Wainwrighta.

- To twój ojciec, prawda?

- Nie - sprostowała z naciskiem. - Nie jest moim ojcem, lecz wujem. Adoptował mnie, gdy byłam niemowlęciem.

- Czy to źle?

- Bardzo źle. Chodziło mu tylko o to, żeby mieć nade mną władzę i w ten sposób zrealizować swe ciemne machinacje. Z pewnością nie chodziło mu o mnie.

- Przecież masz dwadcat wosiem... dwadzieścia osiem lat - zauważył, marszcząc brwi tak jak wtedy, gdy martwił się o swoich małych pacjentów. - Jesteś dorosła i nikt nie może ci zabronić żyć po swojemu. Na czym polega problem?

- Chodzi o to, do czego on chce mnie zmusić - odparła, mając świadomość, że przekazała za mało informacji, aby Dmitri mógł wszystko zrozumieć.

Zanim zdążyła opowiedzieć o rodzinnych komplikacjach, usłyszeli odgłos otwieranych drzwi. Do sali wjechał wózek z niemowlętami.

- Sprawdźmy, czy mama już się obudziła i może powitać swoje piękne... Och! - krzyknęła Lissa na widok gościa. - Co pan tu robi o tej porze? I kto pana wpuszcił? Bo na pewno nie ja.

- Nikt mnie nie musiał wpuszczać, po prostu w ogóle nie wychodziłem.

Laurel skryła uśmiech.

Dmitri był tak zdeterminowany, że położna przestała się złościć i na jej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji. Była to

słuszna decyzja, bo kto zdołałby stąd ruszyć tego wielkiego faceta? Chyba tylko dźwig... Mimo to spróbowała jeszcze raz:

- Ale teraz proszę wyjść. Czas na karmienie dzieci.

- Skoro już tu jestem, mogę się przydać - zaprotestował stanowczo. - Potrzymam jedno, gdy Laurel będzie karmiła drugie.

Logika tego pomysłu zbiła Lissę z tropu, lecz już po chwili zebrała siły do ponownego ataku.

- To zależy, czy Laurel chce, żeby jej pan towarzyszył przy czymś tak...

Zawahała się, Dmitri jednak się uśmiechnął.

- Intymnym? - podpowiedział usłużnie. - Czy karmienie dzieci jest bardziej intymne od ich poczęcia?

- No cóż...

Lissa zarumieniła się, Laurel zaś udało się tym razem nie zaczerwienić, choć zastanawiała się, czy zdoła przezwyciężyć skrepowanie i karmić piersią przy Dmitrim.

Uznała w końcu, że niedorzeczna wstydlivość tylko by ją ośmieszyła, i postanowiła wybawić Lissę z kłopotliwej sytuacji. Biedna położna nie miała szans w tym starciu, bowiem Dmitri swym prostym angielskim potrafił przygwaźdzać ludzi nieodpartą logiką argumentów.

- Lissa, wszystko w porządku - oświadczyła. - Naprawdę - dodała, widząc, że położna nie wie, jak postąpić. - Powiedz mi tylko, które jest bardziej niecierpliwe. Będzie pierwsze w kolejce, bo inaczej swym wrzaskiem obudzi cały szpital.

Lissa zachichotała.

- Doskonały pomysł - zauważyła, wydobywając zręcznym ruchem niemowlę z wózka. - Ten młody człowiek zawsze podnosi raban przy zmianie pieluchy, natomiast jego siostrzyczka jest grzeczna jak aniołek.

Laurel ze wzruszenia wstrzymała oddech, gdy Lissa podawała jej syna.

- Witaj, moje maleństwo - szepnęła czule. Chłopczyk natychmiast otworzył usta, żeby wreszcie dostać coś do jedzenia. - Myślisz tylko o jednym, prawda?

Laurel zaczęła walczyć z górnym guzikiem koszuli nocnej.

- Pomogę ci.

Dmitri rozpiął jej koszulę, a potem pokazał, jak powinna trzymać dziecko podczas karmienia.

- Dzięki Bogu, Mikołaj nie potrzebuje żadnych instrukcji - mruknęła, czując, że rumieniec w końcu wystąpił jej na twarz i nie zamierza się cofnąć.

- Mikołaj? - zdziwił się Dmitri. - Chcesz, żeby nazywał się Mikołaj? Moje drugie imię?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - odparta nieśmiało. Dziecko zaczęło łapczywie ssać, kompletnie ignorując toczącą się przy nim dyskusję. - Pomyślałam, że mógłby się nazywać Mikołaj Dmitri.

- A dziewczynka?

- Anuszka Laura - odpowiedziała cicho.

Był to dla Laurel trudny wybór. Wahala się między Aną, bo tak miała na imię jej prawdziwa matka, a Anuszką, by uhonorować babcię Dmitriego. Ponieważ jednak oba imiona miały ze sobą pod względem fonetycznym wiele wspólnego, na koniec uznała, że wybierze to, które bardziej się jej podoba. I wybrała egzotyczną, słowiańską Anuszkę.

Tym razem Laurel obudziła się w pełnym świetle dnia. Ciężkie, nabrzmiałe śniegiem chmury odpłynęły i za oknem rozpościerało się czyste, błękitne niebo. Blask słońca spotęgowany bielą śniegu niemal ranił oczy.

Dopiero po chwili Laurel zorientowała się, że nie jest w sali sama. Dmitri nie wyszedł, gdy zasnęła po karmieniu. Przywłókł skądś fotel, na którym teraz smacznie spał mimo niezbyt wygodnej pozycji.

Uśmiechnęła się, wspominając, że zawsze tak było. Z łatwością zasypiał w najbardziej nawet niewygodnych miejscach.

Przeszyła ją nagła myśl. Poczowała, że robi się jej niedobrze.

- Laurel? - Instynktownie wyczuł, że już nie spała, i sam się obudził. - Dobrze się czujesz? Jesteś biała jak śnieg. Mam zawołać Lisę?

- Nie, nic mi nie jest. Tylko... Pokręciła głową.

- Proszę, powiedz mi, czy coś się stało? - Wstał i znów zajął miejsce na krawędzi łóżka. - Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, musisz mi o tym powiedzieć.

- Niestety nie możesz. Już od dawna starałam się rozwiązać ten problem, ale właśnie zdałam sobie sprawę, że tylko pogorszyłam sytuację.

Opuściła bezradnie ramiona. Tak naprawdę pozostaje tylko jedno rozwiązanie. Znów zniknąć, tym razem z dwójką maleńkich dzieci. Teraz, gdy się urodziły, nie ma już wyboru.

Oczywiście nie może wyjechać natychmiast. Nie doszła jeszcze do siebie po porodzie, a niemowlęta są zbyt małe, żeby zabierać je w podróż. Zostawić ich też nie mogła. Gdyby Robert Wainwright odnalazł dzieci, z pewnością by je wykorzystał, żeby ją szantażować. Jest zdolny do wszelkich podłości, gdy mają przynieść mu jakakolwiek korzyść.

Zadrzała na myśl, że jej maleństwa mogłyby doznać takich upokorzeń jak ona. Lepiej już uciekać przez całe życie, niż do tego dopuścić.

To będzie takie trudne, znów rozstać się z Dmitrim. Lecz cóż, i tak nie należy do niej i nigdy nie będzie, bowiem niedługo wyjedzie z Anglii. Jednak cudownie, że teraz jest przy niej.

Lecz zarazem tliła się w niej głęboka obawa. Na skutek trudnych doświadczeń z natury pogodna i ufna Laurel stała się wręcz obsesyjnie podejrzliwa i łatwo przypisywała ludziom

złe intencje. Dlaczego Dmitri nie odstępował jej na krok? Czyżby pilnował, by nie uciekła, zanim uzyska odpowiedź, po którą przybył?

W pracy przywiązywał niezwykłą wagę do szczegółów. Może teraz też zadreżca się myślą, że wyjeżdżając do Rosji, pozostawi za sobą niezalutowane sprawy? Jest tu tylko dlatego, że przed opuszczeniem Anglii chce wszystko uporządkować... Czyżby taka była prawda?

- Jak sądzisz, za ile dni mnie stąd wypuszczą? - zapytała.

Zbyt późno ugryzła się w język, bowiem w oczach Dmitriego pojawiła się czujność. Skoro zamierza opuścić szpital potajemnie, niepotrzebnie wzbudza jego podejrzenia.

- Spieszysz się gdzieś?

Rzucił to lekkim, obojętnym tonem, lecz jej nie oszukał. Miała już pewność, że się wygadała. Jego analityczny umysł rozważał teraz wszystkie możliwości, jakie mogły się kryć za jej pytaniem.

- Nie, nigdzie - odparła.

Nie skłamała. Nie ma takiego miejsca, do którego by się jej spieszyło. Musi tylko często zmieniać adres.

Czy naprawdę?

Przecież teraz, gdy odnalazła siostrę, nie musi już ociekać. Opowie Lauren o wszystkim i będzie mogła stawić czoło Wainwrightowi. Rzuci mu prosto w twarz, że przegrał.

Sama myśl o takiej rozmowie przejęła ją strachem, zarazem jednak w dziwny sposób podnieciła. Miała teraz w rękę asa, o którym Wainwright nie wiedział. Pomogą jej ludzie, których niedawno poznała. Ludzie, którym Wainwright nie może odebrać dachu nad głową ani pozbawić pracy.

Czy wygra bitwę, w której orężem będą spryt i determinacja? Trzeba jak najszybciej wprowadzić Lauren w sytuację. Co do Dmitriego...

Laurel miała już dość samotnego borykania się z problemami. Przecież już opowiedziała Dmitriemu o swoim niezawinionym nałogu. Może nadszedł czas, by poznał resztę? Wtedy wiedziałby już wszystko, przestałby się zadreć pytaniami i z czystym sumieniem mógłby wrócić do Rosji.

Na myśl o jego wyjeździe przeszył ją ból. Trudno, prędzej czy później ten dzień i tak nadejdzie, pomyślała z rezygnacją.

- Dmitri, jest coś, o czym ci nie powiedziałam. Chodzi o moją rodzinę i powód...

Przerwało jej energiczne pukanie do drzwi. Właśnie teraz, gdy zebrała się na odwagę, zjawia się jakiś intruz.

Intruz? Laurel uśmiechnęła się radośnie na widok rozpromienionej siostry, która przywiozła bliźnięta w wózku udekorowanym kolorowymi balonikami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Udało mi się zakraść przed porą odwiedzin - obwieściła z uśmiechem Lauren.

Laurel dopiero teraz mogła się spokojnie przyjrzeć swojej siostrze. Nie odrywała od niej wzroku. Miała przed oczami osobę, która do złudzenia ją przypominała.

Bez żadnych wątpliwości były identyczne. Dwie połówki jednego jajeczka. Gdyby ich losy potoczyły się normalnie, już od przedszkola zabawiałyby się wprowadzaniem ludzi w błąd, która to Lauren, a która Laurel. Popisowy numer wszystkich bliźniąt, prawdziwa zmora nauczycieli. Niestety te lata zostały bezpowrotnie stracone. Szkoda.

- Waśnie mamy poród, więc nikt nie protestował, kiedy zaproponowałam, że pomogę na oddziale. Mogę kogoś w nagrodę pocałować?

- Hola, hola, a kogo to zamierzasz całować? Jeżeli mnie, to pozwalam - zainteresował Marc, który wśliznął się za Lauren do sali. Uśmiechnął się do Laurel. - Jak się dziś czujemy?

- Dziękuję, znacznie lepiej. - Wymownie spojrzała na brzuch. - Wreszcie mogę się przewrócić na drugi bok bez pomocy dźwigu. No i znów widzę własne kolana.

- Które mogę najpierw przytulić? - dopytywała się Lauren.

Kiedy jedno z dzieci nagle wrzasnęło, wszyscy się roześmiali.

- To oczywiście Mikołaj - zauważył z dumą Dmitri.

- Wie, czego chce, a kiedy już chce, dba, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Nachylił się, podniósł niemowlę i podał je Laurel. Z kocyka uformował coś w rodzaju prowizorycznego namiotu, za którym mogła dyskretnie karmić dziecko, nie oblewając się przy tym rumieńcem wstydu.

Osłona nie miała zresztą znaczenia, bowiem Lauren i Marc bez reszty zajęli się Anuszką.

Gdy dzieci zostały już nakarmione i ponownie zasnęły w wózku, zapadła cisza. Przerwał ją Marc:

- Dziewczyny, może chcecie, żebyśmy wyszli? Na pewno palicie się do tego, żeby spokojnie porozmawiać.

Zignorował ponurą minę, którą Dmitri powitał tę sugestię.

Laurel zdumiała ta zmiana nastroju. Rozmowa obu sióstr jest czymś naturalnym i oczywistym, a jednak Dmitriemu bardzo się to nie spodobało. O co chodzi? - zastanawiała się Laurel. I nagle pojęła. Dmitri niedługo wraca do Rosji, dlatego zależy mu na każdej chwili, jaką mógłby spędzić z Laurel i dziećmi.

- Na pewno są sprawy, które chcecie omówić bez świadków - dodał Marc.

- Laurel? - Dmitri patrzył na nią wyczekująco, z malującym się na twarzy napięciem. Nie zamierzał wywierać na nią presji.

- Tak, mamy wiele spraw do omówienia, a jedna z nich jest szczególnie ważna i pilna - odpowiedziała z namysłem. - Jeśli jednak Lauren to nie przeszkadza, byłoby lepiej, gdybyście byli przy tej rozmowie. Skoro i tak powinniście poznać prawdę, niech się to stanie teraz.

- Jasne - zgodziła się jej siostra. - Ja już nie mam żadnych sekretów, zwłaszcza przed Markiem. Właściwie to on pomógł mi odkryć fakty, których przedtem nie znałam. Na przykład że mam siostrę.

- No cóż, jest w tym też trochę zasługi Roberta Wainwrighta - zauważył Marc.

Laurel poczuła, że robi się jej zimno.

- Wy go znacie? - zapytała drżącym głosem. Przeraziła się, że wuj wciągnął Lauren i Marca do swych knoń. Czyżby było za późno na ucieczkę?

- Bardziej niż byśmy sobie życzyli - odpowiedziała Lauren i natychmiast się zaczerwieniła. - Przepraszam, nie powinnam tak mówić, przecież to twój adopcyjny ojciec, ale cóż, to było takie przykre zdarzenie. Przyjechał tu i zaczął mi wmawiać, że to ja jestem Laurel. Działał gwałtownie, strasznie napierał. Nawet nasłał na mnie policję. Stwierdził, że podszywam się pod inną osobę i nie mam odpowiednich kwalifikacji, przez co narażam pacjentów szpitala na niebezpieczeństwo. Naprawdę zaszedł mi za skórę.

- Mnie też - dodał Marc. - Pewnego dnia na parkingu Lauren, mistrzyni wschodnich walk, brutalnie cisnęła mną o ziemię, bo uznała, że jestem jednym z jego ludzi. Kiedy ujrzałem nad sobą jej dziki wzrok i dłoń, która za chwilę miała spaść na moją krtań, żeby pozbawić mnie... - Dramatycznie zawiesił głos, nie kończąc tej mocno podbarwionej opowieści.

- Ale jakoś przeżyłeś - roześmiała się Lauren. Marc czule objął ją ramieniem. Laurel poczuła zazdrość.

Nigdy już nie zazna prawdziwej miłości i spokojnego szczęścia, które trwa przez lata, przez dziesiątki lat

- Laurel, z góry przepraszam - mówił dalej Marc - ale nie wydaje mi się, żeby Robert Wainwright był sympatycznym człowiekiem. No, oczywiście nie jest, skoro od niego uciekłaś.

- Nie jest - potwierdził ze złością Dmitri. - To łajdak. Umyślnie uzależnił Laurel od leków, żeby sobie zapewnić jej posłuszeństwo. Szczęśliwie okazała się dla niego za twarda.

- Ale dlaczego? Kto robi coś takiego córce, choćby adoptowanej... Och, mój Boże, chyba nie próbował... cię wykorzystać?

Laurel zamarła. Odruchowo zasłoniła główkę Anuszki, by tak straszne słowa nie dotarły do niewinnego maleństwa.

- Nie, nic z tych rzeczy. Chodziło o moją prawdziwą matkę. To znaczy naszą matkę i o jej udział w spółce, którą Wainwright zarządza.

- Zanosi się na dłuższą opowieść - zauważył Marc, przyciągając sobie krzesło.

Dmitri nie musiał go naśladować, bo od jakiegoś czasu siedział na krawędzi łóżka.

- Chwileczkę - rzuciła niecierpliwie Lauren. - Powiedziałaś, że ma to związek z naszą prawdziwą matką. Na Boga, czy wiesz, gdzie ona teraz jest?

Laurel z bólem ujrzała nieposkromioną radość malującą się w oczach siostry.

- Znałam ją jako moją ciotkę - zaczęła cicho - siostrę kobiety, która mnie adoptowała, żony Roberta Wainwrighta. Niestety, nasza mama już nie żyje...

- Opowiedz mi, jaka była, jak wyglądała... - szepnęła Lauren, a potem chciwie słuchała słów siostry.

- A czy wiesz, która z nas jest starsza? - zakończyła swą opowieść Laurel z uśmiechem, by choć trochę rozproszyć smutek Lauren.

- I mądrzejsza - dorzucił Marc.

- Czyżbym wyglądała na głupią? - roześmiała się Laurel, lecz zaraz spoważniała. - Gdy tylko dowiedziałam się o twoim istnieniu, zrobiłam wszystko, żeby do ciebie dotrzeć. Poszukiwania trwały ponad rok, ale wreszcie się udało.

Czuła, że wszystko wokół niej zmienia się na lepsze. Ta rozmowa niosła z sobą zbawienne skutki. Laurel nie była już sama ze swoimi problemami. Uwolni się teraz od ustawicznego zagrożenia i zacznie żyć własnym życiem.

- Wreszcie jesteśmy razem - powiedziała cicho Lauren, jakby czytała w myślach siostry.

- Tak, to bardzo ważne. Ale mój oj... to znaczy Robert Wainwright jest bardzo pazerny i z pewnością nadal będzie próbował zrealizować swoje plany - stwierdziła ponuro. - Dlatego muszę cię uprzedzić, do czego zmierza. Sprawa

naprawdę jest poważna. Chodzi o wielkie pieniądze i los setek ludzi.

Sięgnęła do szafki, żeby wydobyć dokumenty ukryte w żakiecie. Jęknęła, gdyż przeszył ją gwałtowny ból. Dmitri natychmiast ją przytrzymał.

- Podam ci, powiedz tylko co.

- Żakiet. Jest zwinięty na dnie torby, w dolnej szufladzie szafki.

Bała się o ten żakiet i strzegła go jak oka w głowie, krył bowiem w sobie kopie niesłychanie ważnych dokumentów. Gdyby Lauren musiała czekać na zdeponowane u prawnika oryginały, Robert Wainwright zyskałby dodatkowy czas.

- Żakiet? - wykrzyknęła ze zgrozą Lauren, przekonana, że jej siostra gdzieś się wybiera. - Nie wolno ci wstawać, jeszcze nie teraz.

- Hej, bez obaw! Chcę tylko coś wyjąć. Masz może nożyczki?

Zaciekawiona Lauren wydobyła nożyczki z kieszeni fartucha. Jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy ujrzała, że jej siostra przecina podszewkę. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. W końcu oczom zebranych ukazała się koperta.

Ciszę przerwał śmiech Lauren.

- Jak na szpiegowskim filmie. Do tego jeszcze tajemniczy facet z rosyjskim akcentem...

Lauren wydobyła z koperty papiery i rozłożyła je na łóżku.

- To tylko kopie - wyjaśniła. - Oryginały przechowuje zaufany adwokat naszej matki. Wyda je tylko mnie, gdy zjawię się osobiście.

- Mądre rozwiązanie - mruknął Marc.

- Wkrótce po śmierci matki - opowiadała Lauren - przypadkiem odkryłam ten list. Podkreślam, przypadkiem, choć był zaadresowany do mnie. Gdyby nie to, Robert Wainwright ukryłby go przede mną, a najpewniej zniszczył.

Wręczyła kartki Lauren. Gdy siostra czytała, Laurel streściła Dmitriemu i Marcowi zawartość listu.

- Dowiedziałam się, kim jest moja prawdziwa matka. Przedtem znałam ją jako ciotkę, która raczej trzymała się z dala od reszty rodziny. Dowiedziałam się też, że jestem jedną z bliźniaczek. - Uniosła kopie metryk urodzenia. - Matka przewidziała, że trudno mi będzie w to wszystko uwierzyć, dlatego załączyła te dowody. Wyjaśniła też w liście, że nie chciała nas oddać do adopcji, lecz rodzina, obawiając się skandalu, wywarła na nią potężną presję. Namawiano ją, grożono, nie miała w nikim oparcia. Wreszcie uległa.

- Ale dlaczego Robert Wainwright tak gwałtownie na to reaguje? - zdziwił się Marc. - Jest przecież bogatym przedsiębiorcą, który odniósł sukces w biznesie, ma pozycję. Jakie to ma znaczenie, że nagle pojawiła się siostra jego adoptowanej córki? Przecież chyba się nie obawia, że ludzie nazwą go sknerą, gdy nie weźmie jej na utrzymanie?

- Nie w tym rzecz - zaczęła Laurel. - Chodzi o to, że...

- Że do tej siostry należy połowa naszej rodzinnej firmy! - dokończyła za nią Lauren z wojowniczym błyskiem w oku, wymachując listem matki. - A ponieważ nasze imiona są prawie identyczne... Laurel, o to temu draniowi chodzi, prawda?

Musiała przyznać, że jej starsza siostra jest naprawdę mądra, bo w lot wszystko pojęła.

- Tak, właśnie o to. Robert Wainwright przez wiele lat obwieszczał wszem i wobec, że firma jest jego, a naprawdę sprawami spółki kierowała nasza matka, która kryła się w jego cieniu. Nie lubiła rozgłosu, ale świetnie znała się na biznesie. Robert nie dorasta jej do pięt, lecz przez długie lata był formalnym, a po śmierci matki stał się faktycznym szefem firmy. Nie wiem, od jak dawna to planował, ale teraz, gdy został sam na placu boju, ze wszystkich sił dąży do sprzedaży

firmy. Choć nie ma w niej udziałów, chce się na tej transakcji obłowić, przejść na emeryturę i opływać w luksusy.

- Jak można sprzedać coś, co do nas nie należy? - zapytał Dmitri.

- Nasza matka przewidziała jego oszukańczy manewr. Ten drań był pewien, że wystarczy uzyskać podpis Laurel, a należąca do niej połowa przejdzie w jego ręce. Ponieważ panował już nad częścią swojej żony, planował następnie sprzedać firmę temu, kto da najwięcej - wyjaśniła Lauren.

- Z tym, że ta druga połowa należała do naszej matki, która wszystko zapisała Lauren, nie mnie - kontynuowała Laurel. - Matka wiedziała, że odziedziczy połowę, która stanowiła własność matki adopcyjnej. Gdyby Lauren otrzymała pozostałą część, jej dwie córki miałyby całość.

- Nadal nie rozumiem - mruknął Dmitri. - Przecież Lauren to nie Laurel. Jak Laurel mogła przekazać Wainwrightowi coś, co nie było jej?

- Przecież o istnieniu Lauren nikt nie wiedział, prawda? - Marc nie był tak prostolinijny jak Dmitri, dlatego łatwiej dochodził do pokrętej prawdy. - Wainwright również, jak myślę, bo pewnie te adopcje dokonały się niezależnie od siebie. Kiedy poznał ostatnią wolę matki Laurel i Lauren, był przekonany, że chodzi o nieistotny błąd w pisowni. Tak było? To się zdarza i takie pomyłki można oficjalnie sprostować. Uznał więc, że bez trudu zdobędzie fortunę.

- A wtedy Laurel, nie podpisawszy dokumentów, które czyniły go właścicielem części należącej do jej matki, po prostu zniknęła. - Dmitri z trudem ukrywał dumę, jaką napawała go jej postawa. - Ścigał ją po całym kraju, podczas gdy ona szukała siostry.

- Miałam odwagę, żeby uciec, ale zabrakło mi jej, żeby z nim otwarcie walczyć... - szepnęła Laurel, a wtedy Dmitri uścisnął jej dłoń.

Nagle na korytarzu powstało jakieś zamieszanie. Marc i Lauren spojrzeli w stronę drzwi. Nie mieli ochoty przerywać tak ważnej rozmowy tylko po to, by sprawdzić, co się tam dzieje.

Drzwi rozwarły się z łoskotem i do sali wtargnął nie kto inny jak sam Robert Wainwright.

- Moja panno, mam już naprawdę dosyć tych ekscesów - wycedził, energicznie podchodząc do łóżka.

Zwolnił, gdy dostrzegł, że Laurel nie jest sama. Dwaj postawni mężczyźni wzbudzili w nim respekt, nie tak jak deptająca mu po piętach i buchająca złością położna, którą po prostu ignorował.

Dmitri i Marc błyskawicznie zablokowali dostęp do łóżka, natomiast Lauren zasłoniła sobą wózek z dziećmi.

Laurel po raz pierwszy w swym życiu poczuła, czym jest bezwzględna solidarność i oddanie. Tych troje dałoby się za nią pokrajać, wiedziała o tym. Ogarnęło ją przemożne wzruszenie.

Szczupłe, silne palce, które trzymały jej dłoń, napełniały ją absolutnym poczuciem bezpieczeństwa.

Spojrzała na Dmitriego. Wpatrywał się w nią z podziwem. Tylko on wiedział, ile naprawdę musiała wycierpieć. To wystarczyło. Laurel wyprostowała dumnie ramiona i przygotowała się do walki.

Położna nadal krążyła przy drzwiach, nie wiedząc, jak się zachować. Laurel napotkała jej zmartwione spojrzenie. Uśmiechnęła się, żeby dodać jej otuchy.

- Siostro, wszystko w porządku. Panuję nad sytuacją - powiedziała pewnym głosem.

Położna z ulgą opuściła salę, jednak Laurel była pewna, że zatrzymała się nieopodal, by w razie czego wezwać ochronę.

Robert Wainwright sapnął wściekle, obrzucił spojrzeniem pozostałych obecnych i skoncentrował swój gniew na przybranej córce.

- Rozumiem, że jaka matka, taka córka - warknął, zerkając na niemowlęta. - Ale mniejsza o to...

- Myślę, że masz rację. - Laurel spojrzała na niego posepnie.

- Nie chcę zakłócać wam miłego przyjęcia - dodał ostro. - Jednak musimy załatwić pewne sprawy rodzinne, więc jeśli twoi przyjaciele raczą na chwilę wyjść...

- Och, na pewno chętnie posłuchają twoich rewelacji - rzuciła z drwiną Laurel. - Sprawy rodzinne, powiadasz? Ciekawe, ciekawe... Jakież to rodzinne sprawy spowodowały, że wynająłeś ludzi, by tropili mnie po całym kraju? To na pewno coś ważnego, skoro sam raczyłeś przyjechać do Edenthwaite, kiedy wokół szaleją wichry i zamiecie.

Och, jak cudownie się czuła, gdy wreszcie podjęła otwartą walkę. Poczowała uścisk dłoni Dmitriego. Jak wspaniale, że jest z nią w takiej chwili.

- Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, moja panno - warknął Wainwright, wydobywając z wewnętrznej kieszeni kosztownego płaszcza plik dokumentów. - Wiesz, że potrzebny jest twój podpis, rób więc to, co ci mówię.

Laurel z trudem powstrzymała śmiech. Człowiek, którego przez tyle lat panicznie się bała, teraz jawił się jej jak pokraczna, tandetna figurka z jarmarcznej komedii. Te jego miny, gesty, groźny ton... Zwyczajny oszust, hochsztapler, złodziej. Postanowiła zabawić się jego kosztem. Królewskim gestem w milczeniu uniosła rękę. Tak monarchini odbiera od pazia przesyłkę.

Wainwright prychnął i przybliżył się, ale tylko na tyle, by móc wręczyć papiery, bowiem mina Dmitriego mówiła sama

za siebie. Zresztą Marc też nie wyglądał zbyt łagodnie. Laurel miała obstawę jak się patrzy.

Po szybkim zapoznaniu się z treścią dokumentów Laurel położyła je na kolanach.

- Przykro mi, ale nie mogę tego podpisać - oświadczyła z wyszukaną galanterią.

- Co? Dlaczego nie? - Oczy Roberta zwięzły się. - Chodzi o pieniądze, prawda? Jeśli sądzisz, że możesz mnie szantażować swoim uporem i w ten sposób zwiększyć swój udział w transakcji...

- Och, nie - przerwała zimno. - Pieniądze nie mają tu nic do rzeczy. Sama potrafię zarobić na swoje utrzymanie i nie potrzebuję jałmużny. Bo oferujesz mi jałmużnę, prawda? A sam zamierzasz zgarnąć prawie wszystko.

- Nie znasz się na interesach - rzucił z furją.

- Być może, ale zostawmy to. Otóż jest jeszcze inny powód, dla którego nie mogę podpisać tych... świstków. Chodzi o to, że naruszyłabym prawo.

- To nie są świstki, moja panno, tylko zgodne z prawem dokumenty. - Zmienił taktykę i teraz przemawiał takim tonem jak wtedy, gdy Laurel miała pięć lat. - To jest pełnomocnictwo pozwalające mi działać w imieniu firmy, której część odziedziczyłaś, a także umowa prowizyjna w przypadku, gdyby udało mi się ją sprzedać, co niestety będzie chyba smutną koniecznością z uwagi na obecną sytuację gospodarczą. - Zasepił się obłudnie. - Ponieważ jesteś współwłaścicielką...

- I w tym cały problem, drogi wuju - wyjaśniała cierpliwie, jakby rozmawiała z niezbyt rozzębionym dzieckiem. Ot, mały rewanz. Po latach bezradności cieszyło ją, że wreszcie może sobie zakpić z tego człowieka.

- Proszę, skup się, bo to naprawdę ważna sprawa. Otóż część firmy, której dotyczy ten dokument, nie jest moja, należy bowiem do mojej siostry.

- Bzdury! Nie wiesz, o czym mówisz! W mózgu ci się pomieszało od tych wszystkich tabletek, które musiałaś brać.

Roześmiała się.

- Może wyjaśnisz tu zgromadzonemu, dlaczego musiałam je brać, mój drogi i troskliwy wuju? Ale cóż, nie okazałam się grzeczną dziewczynką i zrezygnowałam z tej kuracji... Jeśli chodzi o tabletki, to od rozpoczęcia szkoły pielęgniarzkiej zdarzyło mi się tylko raz wziąć aspirynę.

Miała poczucie triumfu, gdyż Dmitri ścisnął mocniej jej dłoń. Ponadto radością napawał ją fakt, że człowiek, którego bała się przez całe życie, zalał się purpurą i zastygł z otwartymi ustami.

- Co... co...

- Dzięki za troskę o moją poczytalność, ale mój mózg jest wystarczająco sprawny, żebym rozróżniała L od N i umiała przeczytać, że matka zapisała swoją połowę firmy Lauren, a nie mnie. Co więcej, rozumiem, dlaczego tak postąpiła oraz jakie są tego konsekwencje. Czy mam objaśnić to tobie, drogi wuju?

Robert Wainwright milczał, w jego oczach czaiła się żądza krwi.

- Dobrze, więc ci wyjaśnię - podjęła Laurel. - Matka wiedziała, do czego będziesz dążył, więc sporządziła taki testament, by ci to uniemożliwić. Jeśli chodzi o drugą połowę, tylko od mojej matki adopcyjnej zależy, czy zechce dać ci pełnomocnictwo. Obawiam się tylko - ciągnęła, nie dając Robertowi dojść do głosu - że gdybyś mógł o wszystkim decydować, sprzedałbyś spółkę temu konglomeratowi, o którym jest mowa w dokumentach. Przyświeca ci jeden cel, a mianowicie chcesz sobie napchać kieszenie cudzymi

pieniężmi, o czym świadczy ta niesłychana umowa prowizyjna, czy raczej obietnica nędznego datku... Natomiast los ludzi, którzy pracują w firmie od lat, jest ci zupełnie obojętny. Przecież ta transakcja jest równoznaczna z likwidacją firmy, bo o to chodzi nabywcy, i w następstwie tego setki osób znalazłoby się na bruku.

Robert Wainwright otarł nerwowo czoło. Wiedział już, że przegrał. Jego wypieszczony plan spalił na panewce. Goryczy dodawał fakt, że przechytrzyła go ta mała, tępa smarkula.

- A ponieważ to ja jestem ową Lauren, która została wymieniona w testamencie naszej matki - przejęła pałeczkę siostra - wniosek jest oczywisty: po podpisaniu stosownych dokumentów, co przypieczętuje istniejący stan prawny, połowa firmy oficjalnie przejdzie w moje ręce. Przypominam, że został pan o tym poinformowany w obecności wiarygodnych świadków... Zarazem, jako właścicielka pięćdziesięciu procent udziałów, oświadczam, iż nie wolno panu podejmować żadnych decyzji o fuzji lub sprzedaży ani też żadnych innych decyzji istotnych dla przedsiębiorstwa. Nie muszę chyba dodawać, że tych kuriozalnych dokumentów, z którymi pan tu przybył, oczywiście nie podpiszę. Proszę wybaczyć mi obcesowość, ale dalsza pańska obecność w Edenthwaite będzie zwykłym marnotrawstwem czasu.

- Wiesz co, Lauren? - Marc uśmiechnął się złośliwie. - Popełniliśmy grzech zaniechania, ale myślę, że da się to naprawić. Zaraz skontaktujemy się z tym sympatycznym, energicznym policjantem, który badał sprawę nękania cię przez pana Wainwrighta. O ile dobrze pamiętam, sierżant wspominał, że są podstawy do wszczęcia postępowania karnego, tylko musisz złożyć formalny wniosek.

- Znajdzie się więcej zajęcia dla policji - dodał groźnie Dmitri. - Zmuszanie do zażywania środków odurzających jest poważnym przestępstwem.

Robert Wainwright nerwowo rozglądał się wokół, co i rusz napotykał wrogie spojrzenia. Wreszcie jego wzrok utkwił w leżących na kołdrze dokumentach, które poważnie go obciążały. Każdy sąd uznałby je za dowód przestępczych machinacji.

Laurel dobrze wiedziała, w czym rzecz. Mając te papiery w ręku, trzyma drogiego wuja w szachu. Staje się wobec niej bezbronny jak dziecko. Wymownie położyła dłoń na dokumentach i powiedziała słodko:

- Zachowam je na pamiątkę.

Przez chwilę wyglądał jak drapieżnik szykujący się do skoku. Zanosilo się wręcz na to, że dojdzie do bijatyki. Dmitri naprężył mięśnie, Lauren, mistrzyni wschodnich walk, była gotowa do akcji, natomiast Marc roześmiał się zjadliwie.

- Jak stwierdziła moja żona, marnuje pan tu czas. Wainwright dziwnie się skurczył i z drapieżnika zrobił się szczur, którego schwytano w pułapkę.

- Miłe towarzystwo - warknął. - Mam was dość. Wypadł z sali tak gwałtownie, jak przedtem do niej wtargnął.

- Hm, chyba dobrze trafiliśmy - zauważył po chwili Marc.

- Co masz na myśli? - zapytała Lauren.

- Naprawdę warto zawiadomić policję, i to jak najprędzej. Powinni go dobrze prześwietlić, bo coś mi mówi, że ten dżentelmen od lat podkrada z firmy pieniądze.

- Uważasz, że zamierza zabrać ile się da i zniknąć? - zapytał Dmitri.

- To oszust, a teraz został zdemaskowany, więc jakie ma inne wyjście? Wyjedzie do jakiegoś kraju, z którym nie mamy umowy o ekstradycji. Jest jednak chciwy i będzie chciał zgarnąć wszystko. Ostatnim rzutem na taśmę planuje fuzję.

Dopóki Lauren oficjalnie nie przejmie udziałów, nadal będzie zarządzał firmą.

- Masz numer telefonu tego policjanta, prawda? - upewniała się Lauren.

- Tak, i teraz jest najlepszy moment - ze złowieszczym uśmiechem mruknął Marc. - Nasz drogi przyjaciel jest pod ręką, po co mamy go ścigać po całym kraju?

Marc i Lauren szybko opuścili salę.

Laurel wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

- Och, Dmitri! - wykrzyknęła. - Nie mogę uwierzyć, że jest już po wszystkim. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Mogę żyć własnym życiem i nie muszę nigdzie wyjeżdżać. Mogę tu zostać tak długo, jak chcę, poznać lepiej swoją siostrę.

Nie odpowiadał. Co się stało? Źle oceniła sytuację? Przecież Dmitri długo jej szukał, potem się nią opiekował, wspierał ją, gdy stawiała czoło wujowi. Na pewno nie jest mu obojętna.

Jego kamienna twarz świadczyła jednak, że musiała się pomylić.

- Dobrze wiedzieć, że w końcu zdobyłaś to, czego pragnęłaś - oświadczył wreszcie cichym głosem, puścił jej dłoń i wstał. - Że odnalazłaś swoją rodzinę - dodał oficjalnym tonem.

Nie spodziewała się takiej reakcji. Myślała, że Dmitri ucieszy się wraz z nią z pogrzebienia Roberta Wainwrighta, dzięki czemu odzyskała wolność.

Przez cały czas, gdy wuj starał się ją zastraszyć, Dmitri trzymał ją przecież za rękę, by dodać jej sił, teraz jednak gwałtownie się wycofał.

Laurel ogarnęła panika. To, czego potrzebuje niemal jak tlenu, wymyka jej się z rąk. Co gorsza, nie ma pojęcia, jak

temu zapobiec. A może po prostu teraz, po tych przeżyciach, jest przewrażliwiona?

- Co sądzisz o mojej siostrze? I Marcu? - zapytała, chwytając się rozpaczliwie tematu, który mógł sprawić, by Dmitri stał się na powrót sobą.

- Lubię ich - odparł z przelotnym uśmiechem. - Gdy doszliśmy do wniosku, że zaginęłaś gdzieś po drodze, natychmiast zerwali się, żeby cię szukać.

Spojrzał na zegarek. Laurel z bólem pojęła, że Dmitri zamierza wyjść.

Zdażyła się już przyzwyczać do jego nieustannej obecności. Tak łatwo oswoiła się z myślą, że Dmitri na zawsze wszedł do jej życia.

Od kiedy go poznała, wiedziała, że kiedyś wróci do Rosji, ale teraz sytuacja się zmieniła, bo tuż obok leżały ich dzieci, Mikołaj i Anuszka. Czy dla nich nie zmieni swych planów? Jak ona zniesie ponowne rozstanie? Tym razem już na zawsze...

- Jeśli wybaczysz, muszę znaleźć jakiś telefon, a potem pojechać po samochód.

- Ale wrócisz?! - krzyknęła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Zabrzmiało to jak błaganie...

Tak długo była samotna, bo nie potrafiła nikomu zaufać, ale z Dmitrim jest zupełnie inaczej. Nie chciała bez niego żyć, już nie teraz, gdy się wreszcie odnaleźli. Kiedy widziała w jego oczach miłość, kiedy trzymał na rękach ich dzieci...

- Wrócę - odparł cicho.

Nie wydawał się jednak ani trochę zachwycony tą perspektywą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dmitri opuścił salę Laurel z jedną tylko myślą. Miał ochotę uderzyć. Najlepiej w coś twardego.

- Głupost! - szepnął, zdążając do biura Marca. - Co za głupota! - machinalnie powtórzył po angielsku.

Niedługo ten język nie będzie mu już potrzebny... Zapukał, usłyszał zaproszenie i otworzył drzwi.

- Dmitri, usiądź proszę. - Dyrektor szpitala okrążył biurko i przysiadł na jednym z jego rogów. - Przed chwilą Lauren wróciła na swój oddział. No cóż, postawiłeś mnie w trudnym położeniu.

- Ja?

Dmitri zamrugał, zaraz jednak dostrzegł, że Marc jest bardzo rozbawiony.

- Jak tylko Lauren zobaczyła waszą dwójkę, zaczęła się gwałtownie domagać, żebym też spółdził bliźnięta. Ogólnie wiem, na czym polega płodzenie, ale jak zrobić, żeby od razu ustrzelić parkę?

Dmitri nie zawtórował mu śmiechem. Będzie się cieszyć swym ojcostwem przez niewiele już dni.

Nadal rozbrzmiewały mu w głowie słowa Laurel. Wraz z nimi rozwiewały się złudzenia. Delikatnie sugerowała, by został w Anglii, wrósł w ten świat... w jej świat. Pytała, co sądzi o jej siostrze i szwagrze. To był taki sygnał.

Nagle pojął, jak bardzo dotychczas był samolubny, bo wszystkie plany dostosowywał tylko do siebie. Dlaczego u diabła Laurel miałyby jechać z nim przez pół świata? Przecież to ona jest najważniejsza, jej pragnienia, jej szczęście. Zamiast przyjąć ten punkt widzenia, niejako obwiniął ją za swój ból, za to, że będzie musiał ją porzucić. Co za wstrętny egoizm...

Pokochał swe dzieci natychmiast, był gotów oddać za nie życie, lecz najważniejsza jest Laurel. Nieszczęśliwa kobieta, która przez tyle lat w samotności walczyła o swoją wolność i

godność. Oddał jej swoje serce, lecz sam nie liczył się z jej uczuciami i potrzebami.

Musiał koniecznie z kimś porozmawiać. Jednak babcia Anuszka, jedyna osoba, której bezgranicznie ufał, nie może już go zrozumieć ani tym bardziej mu doradzić.

Marc natychmiast zauważył ponury nastrój Dmitriego.

- Stary, mów, co cię gnębi. Może mogę ci w czymś pomóc? - zapytał serdecznie.

- Chciałbym zatelefonować do Rosji.

- Oczywiście, nie ma sprawy.

Marc wskazał jeden ze stojących na biurku aparatów i taktownie opuścił pokój. Dmitri wystukał dobrze znane cyfry.

To byłby bardzo radosny telefon, gdyby mógł powiadomić babcię Anuszkę, że właśnie została prababcią. Niestety skończy się na rozmowie z osobą, która nawet go nie pozna. Ale i tak opowie jej o wszystkim, o Laurel, Mikołaju i Anuszcze.

O ukochanej i dzieciach, które pozostaną w obcym kraju...

Gdy pielęgniarka z rosyjskiego szpitala poinformowała go, że jego babcia czuje się nadspodziewanie dobrze, nie przywiązywał do tego wagi. Kiedy jednak zaczęli rozmawiać, wszystko się odmieniło.

Pięć minut później, gdy rozległo się delikatne pukanie, nadal siedział za biurkiem z wyrazem niedowierzania na twarzy. Po policzkach spływały mu łzy.

- Dodzwoniłeś się? - zapytał Marc, wnosząc dwie filiżanki. Gdy jednak spojrzął na Dmitriego, dodał z przestrawieniem: - Dobry Boże, czy coś się stało? Jakies złe wieści?

- Przeciwnie, dobre. - Dmitri zorientował się, że płacze i sięgnął po chusteczkę, by otrzeć łzy. - Najlepsze z możliwych.

Wstał. W ostatniej chwili uświadomił sobie, że gdyby starym rosyjskim zwyczajem objął Marca, ten by osłupiał.

- Ma to związek z pracą? Otrzymałeś stanowisko, o które się ubiegałeś? - Podał Dmitriemu filiżankę, drugą postawił na biurku. - Ja nadal nie mogę znaleźć sensownego etatu dla siebie, Chciałbym wreszcie wyrwać się z tego pokoju i powrócić do medycyny.

Dmitri nie miał nastroju do zdawkowej rozmowy. Wreszcie musiał z kimś pogadać od serca.

- Telefonowałem do babci Anuszki, żeby powiedzieć jej o Mikołaju i Anuszce.

- Na pewno się ucieszyła, zwłaszcza że twoja córka nosi jej imię.

- Marc, ona choruje na Alzheimera - wyjaśnił, nienawidząc samego brzmienia tego słowa. - Już od dawna brała mnie za swojego syna, nie wnuka. Ale dziś...

- Jezu, Dmitri, domyślam się, jak bardzo to przeżywasz. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś tak daleko...

- Tysiące kilometrów, ale niekiedy ona oddala się znacznie bardziej. A dziś nagle zaczęła ze mną rozmawiać jak przed chorobą. Gdy powiedziałem jej o dzieciach, o ich imionach, że wyglądają jak ja na dziecięcych fotografiach, podziękowała mi. - Przerwał, by przełknąć ślinę. Jeszcze czuł dławienie w gardle. - Podziękowała za to, że nasza rodzina zyskała przyszłość, że narodziło się nowe pokolenie.

Nadal nie mógł do końca uwierzyć. Nie wiedział, jaki cud sprawił, że coraz bardziej niesprawny mózg tego właśnie dnia na chwilę ozdrowiał, dzięki czemu babcia Anuszka zrozumiała słowa wnuka i mogła przeżyć chwilę cudownej, czystej radości.

Była taka jak dawniej, pełna mądrego optymizmu realistka, delikatna i czuła. Wiedział, że taki cud już się nie powtórzy. Z drugiej jednak strony jej demencja dużo ułatwi, gdy Dmitri wróci do Rosji.

- Ona o wszystkim zapomni - dodał smutno. - Zapomni, że gdzieś na świecie żyją jej praprawnuki. Kiedy będę odwiedzać ją w szpitalu...

Cóż, nie będzie musiał opowiadać o swoich dzieciach, które zostały w Anglii ze swą matką... z Laurel, najcudowniejszą kobietą na świecie.

Poczuł w sercu ból. Nawet gdyby Laurel pragnęła, by pozostał z nią i z dziećmi, było to niemożliwe.

- Ale nie musisz jeszcze wyjeżdżać? - spytał zdziwiony Marc. - Z pewnością możesz zostać kilka tygodni, nawet miesiące, dopóki dzieci nie podrosną.

Dmitri starał się o tym nie myśleć, bo rozważanie takiej perspektywy sprawiało mu zbyt wielki ból.

- Babcia Anuszka najpewniej mnie nie pozna, ale nie mogę jej pozostawić własnemu losowi - oświadczył twardo. - Muszę być przy niej, jeśli nie dla niej, to dla siebie. Ona nie ma nikogo innego. Tak samo jak ja nie miałem, gdy wzięła mnie na wychowanie.

To miłość, nie poczucie obowiązku czy winy, kazała mu telefonować co tydzień, gdy nie mógł jej odwiedzać, bo przebywał na obczyźnie.

- Poza tym - dodał - mam zobowiązania wobec mojego szpitala w Rosji. Opłacono mój pobyt w Anglii, żebym zapoznał się z nowymi metodami pracy na oddziale noworodków i muszę zdobytą wiedzę podzielić się teraz z kolegami.

- Kłopot polega na tym, że w życiu nie wszystko jest czarne lub białe - zauważył Marc.. - Są takie pojęcia, jak obowiązek, odpowiedzialność i honor, i niby jest to proste, gdy jednak w grę wchodzi uczucia, wszystko się komplikuje.

Dmitri uśmiechnął się, lecz nie zgodził się z Markiem. Sprawa jest prosta, z uczuciami czy bez nich. W Rosji ma babcię, którą kochał i która przez całe życie kochała jego, ma

też odpowiedzialną pracę, której nie może porzucić. Tutaj natomiast - ukochaną kobietę i dzieci, które razem powołali na świat. Gdyby wybór należał tylko do niego, byłby rozdarty. Serce nie może przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. Pomyśleć tylko, że kiedyś rozpaczałby, gdyby musiał zostawić w obcym kraju swój sportowy samochód. Z obecnej perspektywy dostrzegał śmieszność takich rozterek.

Nie mógł też żądać od Laurel, żeby wyjechała z nim do Rosji. Jest Angielką, nie zna języka, a poza tym dopiero co odzyskała siostrę. Byłoby okrucieństwem nakłaniać ją do takiej decyzji.

Wyglądałoby to inaczej, gdyby choć raz wyznała mu, że go kocha. Wtedy, uskrzydłony siłą ich wzajemnej miłości, odważyłby się poprosić, by mu towarzyszyła.

Nie wypowiedziała nigdy tych słów. Nie dbała o niego nawet na tyle, by tamtej nocy, gdy leżeli w łóżku, opowiedzieć mu o swoich problemach i konieczności wyjazdu.

Miał w sobie zbyt wiele dumy, żeby ponownie narazić się na odtrącenie.

- Kiedy więc wyjeżdżasz? - zapytał Marc, prawidłowo wnioskując z miny Dmitriego, jakie myśli go zaprzatają. - Czy możesz zostać chociażby do czasu, gdy Laurel opuści szpital? Lauren zamierza ją poprosić, żeby na razie zamieszkała z nami, nim ostatecznie zdecyduje, gdzie chce się osiedlić.

Laurel, wsparta na stosie poduszek, trzymała na ręku Anuszkę, wpatrywała się jednak w drugi koniec łóżka. Dmitri, jak przy każdym karmieniu, znów tam siedział, tym razem z grymaszącym Mikołajem.

Widok ojca, który delikatnie i wprawnie trzymał swoje małe dziecko, całkiem roztopił jej serce. Przypomniała sobie, jak Dmitri obchodził się ze swoimi pacjentami. Już wtedy podziwiała jego zręczność. Zresztą wszystko, co robił,

wywierało na niej wielkie wrażenie. Sposób, w jaki się do niej uśmiechał, w jaki jej dotykał...

Nie. Nie może przywoływać takich wspomnień, nie teraz, gdy Dmitri siedzi zaledwie dwa metry od niej, niemal na wyciągnięcie ręki. Laurel nie ośmieli się nawet myśleć o tym, jak dobrze było im razem. Bo teraz odnosi się do niej tak, jakby... Nie wolno jej wspominać tego, co było, bo nie zdoła powstrzymać płaczu.

Obiecał, że wróci, gdy przyprowadzi swój samochód. Wrócił, to prawda, lecz zarazem przeobraził się w kogoś zupełnie obcego.

A do tego, i to właśnie najbardziej ją niepokoiło, czuła, że to jej, a nie jego wina. No cóż, jeśli nie zapyta, na pewno nie pozna przyczyny. Poza tym ani minuty dłużej nie wytrzyma w tej dusznej atmosferze, jaka powstała w tym pokoju.

- Dmitri, czy powiedziałaś coś, co cię zmartwiło? Przerwało jej pukanie. W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa Lissy.

- Panie doktorze, przepraszam, ale mamy problem - powiedziała nerwowo.

Przybiegła prosto z sali porodowej. Świadczył o tym przyśpieszony oddech i opuszczona na szyję maska.

- Słucham. - Gestem zaprosił ją do środka. Nadal jednak stała w drzwiach.

- Chodzi o poród. Mógłby pan rzucić okiem?

- Oczywiście. Który tydzień ciąży? Jaka faza porodu? Ułożył Mikołaja w wózku.

- Pełny okres ciąży, dziecko już się urodziło. Ma ostry rozszczep podniebienia, ale przede wszystkim chodzi o barwę skóry i oddychanie - wyjaśniała szybko Lissa, gdy Dmitri pospiesznie opuszczał salę.

Dopiero po kilku godzinach, gdy Laurel dostała obiad, dowiedziała się, co zaszło.

- Tak, wiem, mówi się o tym w całym szpitalu - poinformowała ją salowa, która przyniosła tacę. - Pan doktor spojrział tylko na maleństwo i kazał je natychmiast przewieźć do szpitala miejskiego.

A więc Dmitri rozpoznał coś, co zagraża życiu dziecka, a z czym szpital Denison Memorial nie mógłby sobie poradzić.

- Słyszała pani, dlaczego podjął taką decyzję?

- Nie widziałam tego dziecka, ale podobno ma coś z twarzą. Nie da się tego naprawić jedną operacją. Do tego serce źle działa. Jak nie poprawią, krew nie dojdzie do mózgu.

Laurel powstrzymała uśmiech, rozbawiona określeniami salowej, wiedziała jednak, że niedokrwienie mózgu może doprowadzić do tragedii. Nie zazdrościła Lissie. Dwa nietypowe porody w tak krótkim czasie...

Najpierw Laurel wydała na świat nie jedno, ale dwoje dzieci, a teraz poważna anomalia kardiologiczna. W obu przypadkach badania ultrasonograficzne powinny wykazać, co się dzieje, dzięki czemu uniknięto by nieprzyjemnych niespodzianek i komplikacji.

Na pewno dziecku nie zrobi dobrze taka podróż, bo serce nie pracuje normalnie, jednak błyskawiczna diagnoza Dmitriego być może uratowała mu życie.

- Nie jesteś głodna? - zapytała Lauren. Weszła obciążona paczkami i odstawiła z łóżka pełną tacę. - Mamy tu dobrą kuchnię, ale co domowe jedzenie, to domowe. Gdybym dała słowo, że świetnie gotuję, zamieszkałabyś u nas po wyjściu ze szpitala?

- To bardzo miłe zaproszenie, ale...

- Nie musisz od razu odpowiadać, przemyśl to. A teraz może rozpakujemy moją zdobycz? Tak miło się to wszystko kupowało.

- Lauren, wykosztowałaś się...

- Cicho, mała. Zacznijmy od tego. - Wskazała płaską, miękką paczkę. - Dzieci nie mają monopolu na prezenty. Matkom też się coś należy od życia.

Laurel zaczęła rozwiązywać tasiemkę.

- Nie, nie tak! To potrwa zbyt długo! - krzyknęła Lauren, rozdzierając błyszczący papier. - Co o tym sądzisz? Czyż nie jest wspaniała?

Oczom Laurel ukazała się koszula nocna. Jedwabna, z piękną koronką. Tak uszyta, że zapięcie ułatwiające karmienie dziecka było niewidoczne.

- Tak, śliczna.

Prezent rzeczywiście zapierał dech w piersi.

- Dobrze, teraz otwórz resztę.

Oczom sióstr ukazały się kolorowe śpioszki, a także kombinezony, które będą oczekiwały pierwszej wyprawy maleństw w szeroki świat. I dwa pluszowe misie, na razie większe od swych właścicieli.

- Nie mogłam się powstrzymać. Są teraz za duże, ale takie miękkie, miłe w dotyku. No i można je prać. Naprawdę nie mogłam się oprzeć.

Umilkły, lecz cisza im nie ciążyła. Czują się ze sobą dobrze, jak stare przyjaciółki, które spotkały się po długim rozstaniu. Miały jednak sobie tak wiele do powiedzenia...

- Zawsze czułam...

- Zawsze wiedziałam... Rozpoczęły jednocześnie.

- Mów pierwsza, jesteś młodsza - zaproponowała Lauren.

- Nie, poczekam, wiek przed urodą. - Laurel zachichotała.

- Jeśli zamierzasz do końca życia wypominać mi tych parę minut starszeństwa, będę stosowała odwet.

Roześmiały się.

- Och, Boże, czy Mikołaj i Anuszką też będą tak się kłócić? - westchnęła z komicznym przerażeniem Laurel.

- Na pewno - zgodziła się podejrzanie skwapliwie siostra.
- Jeśli ja także urodzę bliźnięta...

- Ugryź się w język, kobieto! Nawet o tym nie myśl! - ostrzegł Marc, który właśnie do nich dołączył. - Mam nadzieję, że kiedy Laurel zamieszka u nas z tą dwójką, szybko się opamiętasz.

- Nie licz na to.

Lauren spojrzała tęsknie na wózek z dziećmi. Mikołaj poruszył się, ale nie obudził. Nie można go było teraz wziąć na ręce i przytulić.

- Naprawdę nie mogę się już doczekać, kiedy wszyscy zostaniemy wielką, szczęśliwą rodziną.

Laurel nie wiedziała, co ją zmusiło do spojrzenia w stronę drzwi. Czyżby szóstym zmysłem wyczuła obecność Dmitriego? Zauważyła ze zdumieniem, że przysłuchuje się ich wesołej rozmowie z bezgranicznym smutkiem.

Chciała wyciągnąć rękę, zaprosić go do ich kręgu. Może to rozproszy jego ponure myśli, jakiegokolwiek one są? Po chwili jednak smutek opuścił jego twarz, jakby tam nigdy nie gościł.

Opowiedział o dziecku, któremu towarzyszył w drodze do miejskiego szpitala. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdyż mały pacjent dobrze zniósł podróż. Wkrótce przejdzie operację, która przywróci prawidłowe funkcjonowanie serca.

Mimo że czuli się razem tak dobrze, Laurel zapragnęła, by siostra i Marc sobie już poszli. Musi porozmawiać z Dmitrim, dowiedzieć się, co go gnębi. Nie mogła jednak na to liczyć, gdyż Lauren czekała, aż dzieci się obudzą i będzie mogła wziąć je na ręce.

Mikołaj wrzasnął, jakby czytał w jej myślach.

- Mogę? - zapytała Lauren i nie czekając na odpowiedź, porwała go w ramiona. Próbowała go uspokoić, w końcu jednak musiała się poddać.

- Proszę, mamó, głodne dziecko domaga się jedzenia - powiedziała z żalem, podając siostrze niemowlę.

Laurel uśmiechnęła się, poczuła jednak niepokój. Czy nie zawiedzie swych dzieci? Pragnęła sama wykarmić tę dwójkę, lecz na razie ma za mało pokarmu. Katy, druga położna, powiedziała jej, że będą musiały co wieczór, podawać bliźniakom gotową mieszankę. Laurel nie wiedziała, czy będzie to podstawowy pokarm dzieci, czy też sama zdoła zaspokoić ich apetyty.

- Jesteś głodny, chłopcze? - mruknęła, układając Mikołaja do karmienia.

Zanim zdążyła rozpiąć pierwszy guzik koszuli, Dmitri okrył ją białym ręcznikiem.

- Dziękuję - szepnęła. Chciała jeszcze coś dodać, nie ośmieliła się jednak unieść wzroku.

To był właśnie ten Dmitri, którego znała i kochała. Kochała, gdy razem pracowali, rozmawiali, wybuchali śmiechem. Delikatny, taktowny mężczyzna, jej pierwszy i jedyny kochanek, ojciec dzieci, które uwielbiał tak samo jak ona. Dlaczego więc tak się od niej oddalił?

Dlatego że wtedy wyjechała bez słowa? Przecież gdy się przekonał, jaki jest Robert Wainwright, na pewno zrozumiał, że musiała tak postąpić.

Dlatego że nie powiedziała mu o ciąży? A może dręczy go coś zupełnie innego? Jakiś problem z babcią?

Z niepokojem sięgnęła po butelkę. Jeśli Mikołaj będzie z niej pił, oznacza to, że miała za mało mleka. Dlaczego? Czyżby przez zgryzotę spowodowaną postawą Dmitriego?

Patrzyła z rozpaczą, jak dziecko przywiera do smoczka i zaczyna chciwie ssać. Musi jak najszybciej porozmawiać z Dmitrim. Nie może tak być, by problemy dorosłych negatywnie wpływały na zdrowie dzieci. A tu chodzi tylko o

proste pytania i równie proste odpowiedzi. Byle tylko siostra i szwagier już sobie poszli.

- To jak, Laurel, zdecydowałaś się? Zamieszkasz u nas po wyjściu ze szpitala? - zapytał Marc. - Chciałem zaproponować, żeby Dmitri też się u nas zatrzymał, ale on lada dzień wyjeżdża do Rosji.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dmitri wkrótce wraca do Rosji? I ona dowiaduje się o tym ostatnia?

No cóż, dał w ten sposób do zrozumienia, jak mało Laurel go obchodzi. Podzielił się nowiną nawet z Markiem, którego znał zaledwie od dwóch dni.

W głowie jej zawirowało, więc szybko zaczerpnęła powietrza. Nie chciała dać po sobie poznać, jaki przeżyła wstrząs.

Opuściła w połowie opróżnioną butelkę i uniosła Mikołaja, który nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zwrócił cały swój posiłek na łóżko i podłogę.

- Oсторожно! - krzyknął Dmitri, który o włos uniknął zabrudzenia,

Laurel trzymała Mikołaja jedną ręką, a drugą usiłowała zdjąć z niego mokre ubranko. Drżały jej dłonie. Ledwie dotarła do niej, że Dmitri wyjeżdża, a tu już zanosi się na nowe nieszczęścia.

- On ma wysypkę! - krzyknęła na widok nagiego ciała. - I jest ciepły, bardzo ciepły. Dmitri, co się z nim dzieje? Całe rano marudził.

Nie mogła uwierzyć, że w chwili strachu o dziecko zwróciła się właśnie do niego. Właśnie teraz, gdy zamierzał bez słowa wyjechać. Dostrzegła kątem oka, że Dmitri bada synka, który zaczął cicho kwilić. Wiedziała przynajmniej, że jej Mikołaj znalazł się w naprawdę dobrych rękach.

- Zapalenie opon mózgowych? - jęknęła przerażona.

- Nie, na pewno nie, on nie ma nawet dwóch dni.

Pamiętała, że wszystkie przypadki tej choroby, z którymi się zetknęła, dotyczyły dzieci co najmniej pięciodniowych. Czy jednak można mieć pewność?

- Nie, bez obaw - oświadczył zdecydowanie Dmitri.

- Popatrz, Laurel, co się dzieje. Gdy naciskam te miejsca, wysypka znika.

- Więc co to jest?! - krzyknęła bezradnie. Chciała przytulić syna, nie mogła jednak przeszkadzać

Dmitriemu w badaniu. Spojrzała na niego, jakby szukała odpowiedzi, a może zapewnienia, że to nic groźnego. Lub też ulgi, że dzieckiem zajmuje się lekarz, który kocha to dziecko tak samo jak ona? Gdy dostrzegła, że pod profesjonalnym opanowaniem Dmitri skrywa podobny niepokój, poczuła, że głęboka emocjonalna więź, jaka wytworzyła się między nimi przy poczęciu dziecka, nie uległa zerwaniu.

- No cóż, jest za wcześnie na symptomy zwężenia odźwiernikowego - zdecydował w końcu. - Najczęściej występują po czterech tygodniach od porodu. No i skąd ta wysypka?

- A może ma po prostu potówki? - zasugerowała Lauren.

Laurel zamrugała. Zapomniała, że jej siostra stoi obok z Anuszką na ręku.

- Nie sędzę. - Dmitri pokręcił głową. - Wtedy mamy do czynienia z odwodnieniem, a nie wymiotami, no i wysypka wygląda inaczej.

- Ale Anuszka czuje się dobrze, prawda? - dopytywała się gorączkowo Laurel. - Dzieci leżały razem, jeśli to jakaś infekcja...

Marc pomógł żonie rozpiąć maleńkie śpioszki. Na widok idealnie gładkiej skóry córki Laurel odetchnęła z ulgą.

- Chłopcy są bardziej podatni na infekcje - zastanawiał się Marc - ale w końcu dzieci były cały czas razem. Do tego karmiłaś je tylko piersią, więc to nie może...

- Nie, Marc! - zaprotestowała, odnajdując nagle odpowiedź. - W nocy Mikołaj był głodny i położyła go na karmienie mlekiem z butelki, żeby mnie nie budzić. Anuszka wtedy spała. Tylko Mikołaj pił to mleko.

- Uważasz, że to uczulenie na mleko z butelki? - zapytał Dmitri.

- Tak, chyba tak. Ja sama do piątego roku życia miałam alergię na krowie mleko.

- Ja także! - wykrzyknęła Lauren. - Nadal muszę uważać, żeby nie zjeść za dużo sera.

Laurel nie wiedziała, czy roześmiać się z ulgą, czy zapłakać z powodu nowego dylematu, który należy teraz rozwiązać.

Również Anuszka zaczęła domagać się pokarmu, a Laurel nie miała dość mleka, żeby wyżywić jedno dziecko, cóż dopiero mówić o dwóch.

Właśnie gdy miała się rozplakać, Dmitri usiadł na łóżku i objął ją ramieniem. Nie musiał nic mówić. Wystarczała siła płynąca z jego dotyku.

Wiedziała, że przerzucając na niego ciężar decyzji, tym samym okazuje słabość, lecz nagle opuściły ją siły. Chciała tylko, żeby ktoś machnął czarodziejską różdżką i wszystko naprawił. A Dmitri jako pediatra był takim czarodziejem.

- Podaj mi Anuszkę - zwrócił się do Lauren. - Moglibyście sprawdzić, czy nie ma w szpitalu czegoś na bazie soi? Jeśli nie, to do czasu, gdy Laurel będzie miała więcej mleka, wystarczy woda z glukozą. No i trzeba zmienić pościel. Przydałaby się też nowa koszula.

Lauren spojrzała znacząco na siostrę.

- Laurel ma czystą koszulę w szafce - poinformowała z dumą w głosie, wychodząc, by wykonać polecenia Dmitriego.

- Chcesz się przebrać w łazience? Mogę również potrzymać Mikołaja - zaproponował Dmitri, gdy wreszcie zostali na chwilę sami.

- Ogłuchniesz, oboje płaczą - ostrzegła.

Zastanawiała się, czy zaryzykować założenie jedwabnej koszuli. Chociaż... na pewno poprawiłoby to jej fatalny nastrój.

Fakt, że wspaniały strój przypomniałby Dmitriemu, że odchodzi od pięknej kobiety, nie wydawał się najistotniejszy, chociaż, musiała w duchu przyznać, nie pozostawał bez znaczenia.

Gdy się przebrała, przystanąła na moment, żeby na siebie spojrzeć. Wyglądam o wiele lepiej niż się czuję, uznała w duchu.

Rzeczywiście, jedwab koszuli układał się wspaniale, podkreślając zgrabną figurę. Laurel poczuła się znacznie różniej.

Wrzask dzieci, które postanowiły równocześnie wypróbować siłę swych płuc, przypomniawszy Laurel, że zostawiła z nimi Dmitriego. Wzięła zatem głęboki oddech i uśmiechając się na myśl o własnej urodzie, wróciła do sali.

- Kek krasowo! - szepnął Dmitri na widok Laurel, zapominając, że nie są sami.

- Maleńka, chyba nie masz mi za złe, że zaczęłam go karmić bez ciebie? - rzuciła Lauren.

Mikołaj ucichł. Zdążył się już mocno przyssać do butelki.

Dmitri miał nadzieję, że siostra nie dostrzegła, jak pożerał Laurel wzrokiem. Zaczerwienił się nawet. Uniósł Anuszkę, żeby zasłonić twarz.

- Tam jest twoja mama - szepnął.

Zdał sobie nagle sprawę, że Laurel nie przypomina w tej chwili młodej matki, a raczej seksowną, intrygującą kobietę.

A on miałby od niej odejść już za kilka godzin?

Zawsze wiedział, że nie będzie to łatwe, i dlatego już raz odłożył wyjazd, lecz teraz uświadomił sobie, że pozostawi tu serce i duszę.

Zabierze ze sobą tylko swoją dumę. Na pewno będzie mu ciężko, nie może jednak opuścić Laurel bez słowa. Przynajmniej tyle może dla niej zrobić w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia.

Kiedy tylko Laurel uciszyła Anuszkę, podając jej spóźniony posiłek, Lauren przekazała Dmitriemu Mikołaja. Pomachała na pożegnanie siostrze i zostawiła ich samych.

Ponieważ nie przychodziły mu na myśl żadne sensowne słowa, w pokoju zapanowała cisza, przerywana tylko rytmicznym odgłosem ssania.

Przez chwilę Dmitri chciał rozpocząć jakakolwiek rozmowę, tylko po to, by przerwać milczenie, lecz byłoby to bezsensowne marnowanie czasu, którego mają niewiele.

Chciał powiedzieć Laurel, że ją kocha i nie wie, jak zdoła przeżyć rozstanie.

Chciał jej powiedzieć, że gdyby tylko miał wybór, pozostałby w Anglii.

Pragnął być przy dzieciach, patrzeć, jak rosną i rozkwitają, i świadomość, że nie będzie mu to dane, była niemal tak samo bolesna jak myśl, że nie ujrzy już nigdy złocistej aureoli włosów przemieniającej Laurel w bożonarodzeniowego anioła.

- Kiedy zatem wyjeżdżasz? - zapytała Laurel, gdy Anuszka wreszcie zasnęła na jej rękach.

Zadała to pytanie tak obojętnym tonem, że Dmitri zwątpił, czy w ogóle obchodzi ją odpowiedź. Naprawdę tak niewiele dla niej znaczy?

- Samolot startuje jutro po południu, jednak rano muszę odwieźć samochód do warsztatu.

Uśmiechnęła się.

- Twój samochód? Co się przydarzyło tej wspaniałej maszynie, o której marzyłeś od dziecka?

- Nic. - Wzruszył ramionami. Jakie znaczenie ma teraz jakiś samochód? - Po prostu go sprzedadzą.

Przez chwilę wyglądała na zdumioną. Czyżby Laurel polubiła to małe sportowe autko, które kupił za pierwszą angielską pensję? Chętnie zostawiłby jej ten samochód, ale nie nadawał się do przewożenia dzieci, był bowiem zbyt mały, by zainstalować w nim specjalne foteliki.

- Kiedy więc musisz wyjechać z Edenthwaite?

Ogarnęło go zniechęcenie. Laurel zajmowała się nieistotnymi szczegółami, lekceważąc fakt, że właśnie się rozstają. Ot, pożegnanie znajomego...

Skoro tak, wyjedzie stąd jak najprędzej. Przedtem jednak powie dzieciom, jak bardzo je kocha i że będzie o nich nieustannie myśleć.

Gdyby kiedykolwiek zdobył się na odwagę i przyjechał do Anglii, może Laurel pozwoli mu spędzić z nimi trochę czasu... jeżeli w ogóle kiedyś im zdradzi, kim jest ich ojciec.

- Ja lubliu ciebia - szepnął do Mikołaja.

Po raz ostatni ucałował główkę syna i ułożył go w wózku.

- Ja lubliu ciebia, Anuszka - powiedział do córki, układając ją obok brata.

Może kiedyś matka im opowie, jak zrozpaczony ojciec zegnał się z nimi, by zaraz potem wyjechać na drugi koniec świata.

Teraz przyszła kolej na Laurel. Miał nadzieję, że zdoła zrobić dobrą minę do złej gry, mimo że wszystko się w nim przeciw temu buntowało.

- Spasibo, Laurel. - Wziął ją za rękę. Poczł absurdalną wdzięczność, gdy jej nie cofnęła. - Dziękuję, że obdarowałaś mnie takimi pięknymi dziećmi.

- Och, Dmitri - szepnęła przez łzy. - Dziękuję za Mikołajka i Anuszkę...

Gdy w końcu cofnęła rękę, jego dłoń zawisała w powietrzu. Nadal czuł ciepło Laurel. Powinien odwrócić się i wyjść... lecz zamiast tego dotknął włosów obramowujących piękną twarz ukochanej.

- Ja lubiu tiebia, aniel, bądź szczęśliwa - wyszeptał czule.

Potem bardzo szybko wyszedł. Gdyby zwlekał, rozplakałby się jak dziecko.

Poczuła ból, jakby ktoś wyrywał jej serce. Nagle ocknęła się. Była już w połowie sali, dokądś szła.

Za Dmitrim? W jakim celu?

Pożegnali się, życzył jej szczęścia. Nie wyglądał na kogoś, kto zamierza powrócić.

Na tyle się zdała seksowna koszula nocna, pomyślała z goryczą, wracając do łóżka.

By się czymś zająć, by wypełnić pustkę, otworzyła szufladę szafki i wyjęła jakąś książkę.

- „Rosyjski w dwadzieścia dni” - odczytała tytuł. Zapłakała. Po co u diabła wozila ze sobą tę książkę przez cały ostatni rok? Chyba pod wpływem złudzeń, że pomiędzy nią a Dmitrim powstało coś trwałego. Mimo to przynajmniej może się czymś zająć. Sprawdzić, co Dmitri powiedział do dzieci... i do niej. Potrwało dość długo, zanim przełożyła zasłyszane dźwięki na cyrylicę, a potem na angielski.

- Nie wierzę! - krzyknęła.

Zerwała się na nogi, czuła, że ogarnia ją nowa energia.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, ty głupcze?

Chciała pobiec za Dmitrim, lecz to nie wchodziło w rachubę. Już dawno musiał opuścić Denison Memorial.

- Jest jednak sposób - mruknęła, naciskając przycisk dzwonka.

Telefony komórkowe to niegłupi wynalazek, pomyślała. A Dmitri dał jej przecież swój numer, na wypadek gdyby czegoś potrzebowała.

Teraz potrzebuje. Właśnie jego. Z najważniejszego z możliwych powodów. Kocha go i chce z nim spędzić resztę życia.

- Choćby w Rosji - postanowiła twardo.

Pozostawiłaby siostrę, którą dopiero niedawno spotkała. Cóż, pozostaną im telefony i nieczęste odwiedziny. Lecz głos serca nie pozostawia wyboru.

Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim do jej łóżka przyniesiono telefon. Drżącymi palcami wystukała numer.

Dzwonił i dzwonił. Przez chwilę paraliżowała ją myśl, że jest już za późno.

- Dmitri? Tu Laurel - zaczęła, gdy w końcu odebrał. Starła się usłyszeć, czy Dmitri jest jeszcze w hotelu i się pakuje, czy już na autostradzie. Mógł się zatrzymać, żeby odbyć tę rozmowę. Czy nie w miejscu, w którym usłyszał pracujący w zaspie silnik jej auta?

- Laurel? Czy coś się stało?!

- Tak, stało - odpowiedziała nabrzmiałym emocjami głosem. - Wróc do szpitala. Muszę ci powiedzieć...

- Już jadę! - wrzasnął przerażony i natychmiast przerwał połączenie.

Lauren zorientowała się, że uznał, iż coś złego stało się z dziećmi. Jednak nie zadzwoniła powtórnie, by wyjaśnić nieporozumienie. Dmitri zaraz tu będzie...

I co mu wtedy powie?

Poczuła się kompletnie bezradna. Najpierw powie, że dzieci są zdrowe, natomiast ona ma do Dmitrego taką sprawę... Bez sensu. Rozejrzała się, lecz ani żadna z czterech ścian, ani śpiące dzieci nie nasunęły jej jakiegokolwiek pomysłu.

Zacząła nerwowo przechadzać się po sali. Musi się uspokoić, a potem...

Ależ tak, ma do Dmitriego niezwykle ważną sprawę! Dotyczy ona jej szczęścia. Taka jest stawka. Jej szczęście. Szczęście całej ich czwórki. Ich... rodziny.

Dlaczego więc tak długo zwlekała z tą rozmową? Powinna ją odbyć od razu po porodzie.

Nauczyła się walczyć o przetrwanie. Pokonała nałóg, ukończyła kurs, skutecznie uciekała przed Robertem Wainwrightem, na koniec odnalazła siostrę. Działała samotnie i z dużą determinacją, a nawet, co bez fałszywego wstydu mogła przyznać, wykazała się odwagą.

Kiedy jednak nadszedł czas, by przemówiło serce, zachowała się jak tchórz.

Znała Dmitriego od miesięcy. Pracowała z nim, zakochała się w nim, dzięki niemu poznała seks. Lecz tylko raz wyznała, że go kocha. Nie, nie wyznała, lecz lękliwie napisała o tym na odwrocie starej koperty.

Tym razem musi znaleźć w sobie odwagę stanąć z nim twarzą w twarz, i ponieść wszystkie konsekwencje. Tym razem, jeśli Dmitri ją opuści, zrobi to ze świadomością, że ona go kocha i jest gotowa wyjechać z nim do Rosji.

Nagle, zanim przygotowała się w pełni do rozmowy, usłyszała jego kroki. Odwróciła się do drzwi.

- Laurel? Co się stało? Dzieci...

Rzucił się do nich. Spały spokojnie. Nic nie mogło im dolegać.

- Dmitri, przepraszam, że tak to wyszło. Wystraszyłeś się, wróciłeś do szpitala...

- Kiedy zadzwoniłaś, właśnie tu jechałem.

- Musiałam cię zobaczyć, żeby coś ci wyznać. Postąpiłam jak tchórz. Dopiero kiedy rozszyfrowałam, co powiedziałeś do dzieci... i do mnie, wiedziałam, że powinnam. ..

Urwała, gdyż wreszcie dotarły do jej świadomości słowa Dmitriego.

- Jechałeś tutaj? Dlaczego? Zapomniałeś o czymś?

- Tak, zapomniałem. Zapomniałem ci coś powiedzieć. - Zbliżył się do niej. - To ja stchórzyłem. Mówiłem otwarcie tylko po rosyjsku. - Jego fascynujące srebrne oczy płonęły niezwykłym blaskiem. - Musiałem wrócić, żeby ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham... i że będę za tobą tęsknił.

- Och, Dmitri, pamiętałeś! - krzyknęła ze łzami w oczach. - To te same słowa, które napisałam na kopercie po tamtej nocy... kiedy cię opuściłam.

Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

- Na jakiej kopercie?

- Tej, którą ci zostawiłam. Nie pamiętasz? Napisałam list na odwrocie starej koperty z Rosji... - Ujrzała zdumienie w jego oczach. - Nie znalazłeś jej? Cały czas myślałeś, że zniknęłam bez pożegnania?

Dmitri posłużył się rosyjskim słowem, którego Laurel z pewnością nie znalazłaby w żadnym podręczniku. Uniósł ręce.

- Oboje jesteśmy duraki! - wykrzyknął. Roześmiała się na dźwięk tego określenia.

- Jeśli to oznacza, że jesteśmy głupi, to masz rację. Cały czas byłam pewna, że wiesz... o mojej miłości. Skoro jednak nigdy nie wyznałeś, że mnie kochasz...

- Do niedawna.

- Ale po rosyjsku. Dopiero później przetłumaczyłam twoje słowa, korzystając z podręcznika.

- Gdybym się zdradził z moimi uczuciami już wtedy, gdy wkroczyłaś do mojego życia jak gwiazdkowy prezent. .. Nie, nigdy się nie dowiemy, co by wtedy nastąpiło. Ale teraz jest inaczej. Teraz, kiedy wiesz, co to znaczy ja lubię cię...

Patrzył na nią z błaganiem i nadzieją w oczach. Nie mogła się temu oprzeć, musiała jednak zadać jeszcze jedno pytanie.

- Czy będę często słyszała te słowa? Zwłaszcza, że mamy zamieszkać w Rosji?

- Wyjechałabyś ze mną do Rosji? - krzyknął z zachwytem, szybko jednak się opanował. - Nie, to niemożliwe. Co z Lauren? Dopiero ją odnalazłaś. Na pewno chcecie się bliżej poznać.

- Ach, Dmitri.

Nie mogła już znieść dzielącej ich odległości. Położyła mu ręce na ramionach. Szybko objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Poddała się temu. Przypomniała sobie jednak, że mimo wszystko czekał na jej odpowiedź.

- Dmitri, będę za nią tęskniła, ale w końcu przeżyłam już dwadzieścia osiem lat bez Lauren. Poza tym są listy, telefon, e - maile, a podczas wakacji możemy się odwiedzać. - Zagłębiła dłonie w jego włosy, patrzyła mu prosto w oczy. - Próbowałam żyć bez ciebie przez dziewięć miesięcy. Nigdy jeszcze nie byłam tak nieszczęśliwa. Chcę być z tobą. Muszę być z tobą. Czy ty też tego pragniesz?

- Anioł - szepnął, porwał Laurel na ręce, posadził na łóżku i przytulił. - Jesteś darem, który chcę zachować na zawsze.

- Pięknie wyglądasz - pochwaliła Lauren, gdy Laurel odwróciła się do niej w przedsionku urzędu stanu cywilnego. - A ta ozdoba świetnie pasuje do bożonarodzeniowej panny młodej.

Laurel dotknęła złotego wisiora, który siostra zapięła właśnie na jej szyi. Dmitri podarował jej pięknego małego aniołka, żeby przypominał, jak lubi ją nazywać. Ponieważ ten prezent oznaczał dla Laurel coś więcej niż zwykły podarunek, stanowił jakby symbol uroczystego przyrzeczenia, postanowiła włożyć go na dzisiejszą ceremonię, lecz drżące palce nie poradziły sobie z zapięciem. W ostatniej chwili poprosiła siostrę o pomoc.

- On czeka w środku, z Markiem i z dziećmi. One także się niecierpliwą i obwieszczają to wszem i wobec. Jesteś już gotowa?

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że wyjeżdżamy od razu do Rosji? - zapytała, nagle niepewna, czy jej siostra zrozumie ten pośpiech. Poza obowiązkami w szpitalu, Dmitri chciał już wyjechać z powodu babci Anuszki.

- Pewnie że nie, chociaż... szkoda. - Objęła Laurel. - No cóż, przynajmniej mamy ciekawe miejsce na spędzenie wakacji. Przygotuj się na częste wizyty!

Laurel odetchnęła z ulgą. Jak dobrze mieć kochaną, mądrą siostrę. '

Wreszcie wkroczyła do sali.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy - powtórzyła, patrząc na Dmitriego.

Wiedziała, że ma już wszystko, czego pragnęła.

- Mój świąteczny prezent, Dmitri - dodała cicho, gdy nachylił się, żeby ją pocałować, po raz pierwszy jako żonę. - To więcej niż podarunek, pamiętasz? Twój bożonarodzeniowy anioł zostanie przy tobie na zawsze.